Opłatę pocztową uiszczono ryczałtem

JEDNOTA

ORGAN POLSKIEGO KOŚCIOŁA EWANGELICKO-REFORMOWANEGO

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC

ROK II WARSZAWA, CZERWIEC 1927 R. Nr 6

REDAKTOR: **Ks. St. SKIERSKI**
Adres Redakcji:
WARSZAWA, UL. LESZNO Nr 20 m. 3.

WYDAWCA:
KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ PARAFJI EWANGELICKO - REFORMOWANEJ
ADRES ADMINISTRACJI — LESZNO 20.

WARUNKI PRENUMERATY: Rocznie zł 12; półrocznie zł 6; kwartalnie zł 3. Pojedyńczy numer zł 1.50.

CENY OGŁOSZEŃ: Okładki strony 4-tej 150 zł; strony 2-ej 100 zł; strony 3-ej 75 zł.

Konto czekowe Pocztowej Kasy Oszczędności Nr 12.423.

TREŚĆ NUMERU:

1. —S— Duch mocy i miłości 89
2. *Kazimierz Kosiński.* Juljusz Słowacki 90
3. *Ks. St. Sk.* Ewangelicko-Reformowany Djakonat 97
4. *P. Hulka-Laskowski.* Dwie głośne książki 99
5. *Leon Rygier.* Doznania religijne w najnowszej literaturze polskiej, (Dokończenie) 101
6. —S— Wiadomości z Kościoła i o Kościele 104
7. Z. Z ruchu wydawniczego, ofiary na wydawnictwo 107
8. Wykaz nabożeństw, ogłoszenie 108

ROK II WARSZAWA, CZERWIEC 1927 R. Nr 6

Redaktor: **Ks. St. Skierski.** Adres Redakcji: WARSZAWA, UL. LESZNO Nr 20 m. 3

Wydawca: KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ PARAFJI EWANGELICKO-REFORMOWANEJ
Adres Administracji: LESZNO 20.

DUCH MOCY I MIŁOŚCI.

II Tymot, 1 7: „Albowiem nie dał nam Bóg Ducha bojaźni, ale mocy, miłości i zdrowego zmysłu".

W przytoczonym ustępie Pisma Świętego przeciwstawia Apostoł Chrystusowy duchowi bojaźni ducha mocy, miłości i zdrowego zmysłu. Czem jest duch bojaźni i zwątpienia, przekonać nas mogą religja i wierzenia religijne pogańskie. Zasadniczą cechą religji pogańskiej jest bojaźń. Poganin przedewszystkiem boi się bóstwa swego, którego gniew i zemstę ofiarami swemi przebłagać się stara, poganin boi się duchów złych i szkodliwych, boi się tajemniczej mocy czarów i zaklęć i zabezpieczyć się przed nimi usiłuje znowu przez czary i tajemnicze zaklęcia. Całe życie poganina przytłoczone jest tem ciężkiem brzemieniem lęku i bojaźni, a jak wielkiem jest to brzemię świadczy to bezmierne szczęście, malujące się na obliczu wczorajszego poganina, który przez Ewangelję Chrystusową do wewnętrznej przyszedł wolności dziatek Bożych!

Niestety pogańska bojaźń i lęk nie obce są i chrześcijanom dzisiejszym. Dzisiejsze chrześcijaństwo tak na ogół słabe jest i mizerne, za mało okazuje ono mocy wewnętrznej! Jako ludzie nowożytnej kultury i wykształcenia uważamy się za wyższych od miljonów pogan, a jednak tak samo, jak oni, uginamy się pod brzemieniem trwogi i bojaźni, która całe życie nasze wypełnia i znamię swoje na niem wyciska. Przerażenie nas ogarnia, gdy widmo śmierci przed nami staje, trwoga ściska serce, gdy na horyzoncie żywota naszego ciemne się ukazują chmury. Jakże ci sami ludzie, którzy się Boga nie boją i z djabła się śmieją, lękają się ludzi, ludzkiej zemsty i nienawiści, złego spojrzenia, obmowy i prześladowania, tak zwanej wreszcie opinji, która nie jednego już zmusiła do postępowania wbrew sumieniu swemu!

Czy lęk i bojaźń przystoi uczniom Chrystusa Pana, przez którego Bóg nasz Ojcem się naszym stał w niebie? Gdybyśmy to synostwo nasze u Boga rozumieli dosłownie i brali je realnie, nie lękalibyśmy się jawnie wiarę swoją wyznawać. Nieprzyjaciele krzyża Chrystusowego nie podnosili by wówczas tak hardzie i tak wysoko głowy, dzisiejsza wiedza i sztuka, dzisiejszy duch czasu i dzisiejszy materjalizm nie był by tak groźnym wrogiem przekonań naszych religijnych!

„Czemużeście bojaźliwi, o małowierni"? Tak mógł by i nas dzisiaj zapytać Chrystus Pan! „Nie wzięliście ducha niewoli znowu ku bojaźni, aleście wzięli ducha synostwa, przez którego wołamy: abba — Ojcze", powiada Apostoł. Czyśmy wzięli ducha synostwa, który jest i duchem mocy? Mocy tej potrzebujemy wszyscy, ale istnieje jedno tylko źródło tej mocy, a tem jest żywa społeczność z żywym Bogiem, którą tylko Duch Jego Święty stworzyć może. Duch Boży rodzaju jest Boskiego. Jest on tem, czem i Bóg w istocie swojej jest, Duchem mocy i siły. Człowiek chory, któremu tylko czyste powietrze wyżyn górskich zdrowie i siły przywrócić może, ani chwili zostawać nie chce w dusznych i wilgotnych nizinach. Tak i myśmy czynić winni. Jeżeli tylko na szczytach onego podniesienia duchowego, do którego przecież każdy z nas jeszcze jest zdolny, spłynąć na nas może moc z góry — dlaczegoż pozostajemy na nizinach i nie pniemy się na te szczyty, dlaczego mocy szukamy na bezdrożach, u ludzi, w książkach, w systemach naukowych, u lekarzy i czarodziejów, którzy nam tej mocy dać nie mogą? Tylko Duch Boży daje moc, a Duch ten jest nam dany! Wiemy jak małej wiary, ale wielkiej bojaźni ludźmi byli uczniowie Jezusa, zanim Ducha Bożego przyjęli. Gdy go otrzymali, wówczas ten sam Piotr, który w noc na Wielki Piątek tchórzliwie się zaklinał: „nie znam tego człowieka", do tysiącznego mówi tłumu o tym Jezusie z takim ogniem i taką mocą, że słowa jego poraziły słuchających go w samo serce, i ten sam tłum, który w Piątek rano srożył się przeciwko Jezusowi, teraz w skruszeniu serc swoich pyta: „cóż mamy czynić mężowie bracia"? Tu w Piotrze objawia się duch mocy, Duch który Jezusa uwielbia, który ludzi zniewala i do Boga ich prowadzi! Prośmy o takiego Ducha i przyjmijmy takiego Ducha mocy, a wówczas i my świadkami będziemy Chrystusa Pana i ludzi dla niego zniewalać będziemy!

Ale w równej mierze jak i moc potrzebną jest do przekonywania ludzi i pozyskiwania ich dla Chrystusa i miłość! Bywa pobożność, której brak miłości, a choć może jest rzucającą się w oczy, jednak nie wiele sprawia dobrego. Twardą dłonią swoją niszczy ona zarodki wiary w sercu bliźniego, a ciasnota jej serca odpycha szukającego pokoju w Bogu. Jest ona surowa, pomiatająca i lekceważąca w sądach swoich, okrutna w potępianiu, bo brak jej miłości. To nie jest pobożność z Ducha Bożego! Bóg dał nam Ducha mocy i Ducha miłości, tej miłości, która cierpliwie znosi przywary i błędy bliźniego, która zaufaniem darzy nawet najmniej zda się godnego zaufania, która nawet na gruzach i ruinach życia w życie i rozkwit jego wierzy! Taka miłość największą jest potęgą i najbardziej przekonywującem świadectwem o Bogu i Chrystusie. Jedno współczujące słowo zachęty, jedno dobre spojrzenie pełne zaufania, jeden uścisk dłoni, w którym się współczucie dla bólu bliźniego wyraża, może wiele — wiele dobrego uczynić, bo płynie z niego moc, moc Ducha Bożego, który jest Duchem miłości!

Jaki jest właściwy cel i zadanie życia naszego? Abyśmy Boga uwielbili i o Chrystusie światu świadczyli. Bóg więc nas sam do świadectwa takiego powołuje i dostatecznie nas do świadectwa tego uzbraja, dając nam Ducha swego, który nie jest duchem bojaźni, ale Duchem mocy i miłości! Prośmy o niego i przyjmijmy go. —S—

JULJUSZ SŁOWACKI.

(Z powodu sprowadzenia zwłok poety do kraju).

Umarł Słowacki w roku 1849 — sprowadzenie zwłok do kraju ma miejsce w roku 1927.

Minęło lat kilkadziesiąt, zanim stało się faktem, że Słowacki może powrócić do ojczyzny. Myliłby się jednakże ten, ktoby twierdził, że nie było dotąd możności spełnienia obowiązku wobec człowieka, który, tworząc, czuł się rycerzem „walki napowietrznej o narodowość naszą". Słowackiego można było sprowadzić do kraju w setną rocznicę jego urodzin, t. j. w roku 1909. Ale powiedzmy wyraźnie: społeczeństwo nie czuło wtedy potrzeby składania hołdu prochom poety, z którym przychodzą do głosu określone wartości żywe, ideje i hasła. Ogół nie poparł usiłowań tych, którzy dawali wtenczas inicjatywę: dawał ją Krakowski Komitet Akademicki dla sprowadzenia zwłok poety. Z drugiej stronv ukazała się natenczas odezwa z protestem przeciw „profanacji" Wawelu przez prochy Słowackiego, odezwa, w której wspomniany Komitet Akademicki nazwany został „garścią czerwonych radykałów", chcących narzucić wolę swoją naro-

dowi. Autor odezwy, którego nie wymieniamy, rozrzuconej w tysiącach egzemplarzy po kraju, apelował do sumienia narodu i do kardynała Puzyny, aby nie dopuścili do hańby. Tymczasem Komitet zwołał był do Krakowa wiec ogólnopolski, na dzień 4 kwietnia 1909 roku. Udziału w Komitecie Zjazdu odmówiło wtenczas wielu, począwszy od Władysława Mickiewicza i Antoniego Małeckiego, profesorów Uniwersytetu i innych powag w społeczeństwie polskiem. W rezultacie udział w Zjeździe wzięli niektórzy posłowie do Parlamentu i Sejmu, historycy, literaci, przeważnie zaś dziennikarze, którzy całej sprawie nadali posmak dziennikarsko-publicystyczny, aż, w rezultacie, został Słowacki wygadany i wypisany, jakby jaka postać współczesna, żywa. Na samym wiecu debatowano przez szereg godzin, kłócono się, zanim zgodzono się na Wawel dla zwłok poety, obok pochowania tamże Zygmunta Krasińskiego. Potem przyszła rola kardynała Puzyny, który był tylko wykładnikiem woli przeważającej części ogółu. Słowacki pozostał na obczyźnie, zdawało się, tym razem, na zawsze.

I możeby tak było, gdyby nie nastąpił fakt tej miary, co zmartwychwstanie Polski po wojnie narodów. Ale tu sprawdziły się słowa Mickiewicza, że niema państwa, jego rozrostu sił, bez narastania moralnego dusz. Życie państwowe polskie przyniosło z sobą tyle wartości nowych, tyle nieprzewidzianych sytuacyj moralnych, a nadewszystko przyniosło z sobą walkę nieubłaganą o duszę narodu, tę samą „walkę napowietrzną o narodowość naszą", o której mówił Słowacki w odpowiedzi na krytykę swoich Trzech Poematów. Polska zmartwychwstała, przeszła już przez poważne wstrząsy wewnętrzne i przez niezaprzeczoną, do pewnego przynajmniej stopnia, przemianę duszy, której przemiany wyrazem jest, między innemi, i zmiana stosunku do wielkiego poety. Jak przedtem wyrazicielem opinji był kardynał Puzyna, tak obecnie stał się nim Józef Piłsudski, który sprowadzenie zwłok poety uczynił dokonanym faktem. Nie o to jednak idzie: stwierdzić należy, że obecnie nie podobna było dłużej opierać się myśli powrotu Słowackiego do kraju. Teraz o niego wołało życie, które od czasu odzyskania niepodległości narosło niewspółmiernie w każdej niemal dziedzinie. Toteż z całym naciskiem trzeba podkreślić, że w fakcie sprowadzenia zwłok poety do wolnej i niepodległej Polski mamy nietylko zadośćuczynienie pamięci wielkiego romantyka, mamy nietylko pogrzeb, ale potężny optymizm w tem, że tutaj życie polskie upomniało się o swoje wartości najwyższe, którym nie pozwala już stać poza duszami. Rozejrzyjmy się zatem w idejach, które przynosi z sobą Słowacki.

Polska była wiarą widzącą romantyzmu polskiego. O ile przedtem, w literaturze polskiej zagadnieniem kardynalnem była Naprawa Rzeczypospolitej od Memorjału Ostroroga do pism Staszica i Kołłątaja, poprzez Modrzewskiego i Skargę, o tyle teraz, po upadku Polski, była wiara w jej zmartwychwstanie. Pod tym względem różnica uwidacznia się najbardziej w porównaniu z wiekiem Oświecenia, w którym myśl polityczna polska obracała się koło reform w celu uratowania państwa, tudzież zdobywała się na krytkę narodu, podczas gdy teraz sprawdzianem kwestji polskiej było uczucie, zawarte w słowach: Jeszcze Polska nie zginęła. Dogmat ów zmartwychwstania, jako nakaz moralny dla dusz, postawiła poezja polska po roku 1830: nastąpiło tu przesunięcie punktu ciężkości zagadnienia Polski z powierzchni życia politycznego w głąb duszy, a co zatem idzie, Polska stała się trudem wewnętrznym na nizinach upadku w niewoli. Ten trud wewnętrzny był z jednej strony wypracowaniem wartości, mających się urzeczywistnić politycznie po odzyskaniu państwa, z drugiej zawierał w sobie potężny irracjonalizm uczuć aż do rozmodlenia się Polską, aż do podniesienia cierpień narodu do wyżyn ukrzyżowania za ludy. Mickiewicz w Księgach Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego jednym potężnym rzutem woli i uczucia wytknął był szlaki duszy polskiej aż do modlitwy o wojnę powszechną ludów. Ogół atoli nie dorastał do wyżyn tak postawionych zagadnień i gubił się niejednokrotnie w braku właściwej idei polskiej, co otwierało drogę bolesnej analizie i krytyce.

Słowacki na początku swojej twórczości, po upadku powstania listopadowego, jest takim właśnie krytykiem narodu — i rezultaty tej krytyki są ujemne. Postawił on natenczas tezę, że przyczyną upadku powstania była nietyle przemoc wroga, ile słabość narodu, załamanie się jego psychiczne, brak woli i niezdolność do czynu. Twierdzenie to postawił Słowacki w Kordjanie. Już w Przygotowaniu do Kordjana wykazał był całą nicość przywódców polskich z doby powstania, nadto, co do ogółu, stwierdził brak czynnego patrjotyzmu w atmosferze strachu i codzienności. Sam bohater, Kordjan, szarpie się w tej atmosferze i staje się tragicznym w swojem osamotnieniu i pustce, kiedy przekonał się, że opinja polska uzna go tylko za pospolitego zbrodniarza. Jest to najtragiczniejszy moment Kordjana, kiedy, po wyładowaniu zapału w scenie spisku w podziemiach katedry św. Jana, dochodzi do przekonania, —

że Polska cała żadnej niegodna ofiary...

i potem w Szpitalu warjatów, już po nieudanym zamachu na Mikołaja I, kiedy stawia przed sobą pytanie, dla kogo się właściwie poświęcał, komu potrzebną była w Polsce jego walka z przemocą? Około tego tragicznego pytania obracała się cała treść utworu, jakoż musiał tutaj Słowacki dojść do następujących stwierdzeń:

Niewola upadla. Naród w niewoli jest niewolnikiem. Nie przyda się na nic rozmarzanie dusz kultem zbiorowości. Naród w niewoli musi spodleć, jeżeli nie będzie miał idei walki o niepodległość. Społeczeństwo polskie nie umiało zdo-

być niepodległości, a modlitwa o nią nic nie pomoże. Dusze trzeba rozmarzyć dawną polityczną wielkością Polski. Dawni Polacy, z czasów wolnej Rzeczypospolitej, są wyżsi „o całe mogiły" od tych, którzy żyją w niewoli. Dusze należy podnieść do potęgi dawnej i nastawić je w kierunku wielkości politycznej. Tego nie uczynią masy, które ideę Polski wolnej zdolne są przykryć „garnkiem kuchennym" codzienności. Tutaj wyłania się rola jednostki w narodzie.

Dalej Słowacki narazie nie poszedł, a potem ujął zagadnienie jeszcze raz z innej strony, a mianowicie poprzez cierpienie.

Niejednokrotnie spotykamy się z twierdzeniem, że Słowacki w Anhellim każe narodowi cierpieć. Nie można popełniać potworniejszej pomyłki. W dobie, kiedy setki tysięcy Polaków znajdowało się na wygnaniu, po więzieniach, katorgach i turmach, kiedy w kraju była bezprzykładna w dziejach ludzkich reakcja zaborcy, a naród tężał w bólu, zaś instynkt samozachowawczy dyktował mu unikanie męki i śmierci dla idei Polski niepodległej, niewielu zaledwie duchom zdalawidnej i jasnej, cierpienie było faktem, którego Słowacki nie stwarzał, stawało się jednak kwestją palącą i najbardziej żywotną. Jakoż w tem miejscu był romantyzm polski kierunkiem najbardziej może realnym ze wszystkich, jakie u nas były: umiał doszukać się kwestji najżywotniejszej dla swojej doby dziejowej. Szło o to, aby cierpienie narodu zapłodnić ideą jego odrodzenia, natenczas męka, chociaż nie dobrowolna, stawałaby się ofiarą, podniesioną do wyżyn nieomal chrystusowych. Słowacki w Anhellim nie nakazuje szukać dla siebie męki, stawia jedynie jej zagadnienie, jak z niej uczynić ofiarę dla idei. I znowu dochodzi do stwierdzeń: że pokolenie jemu współczesne Polski wolnej nie ujrzy, momentu zmartwychwstania nie dożyje, do śmierci przetrwa w tęsknocie i łzach. Słowacki w Anhellim uczy jednego tylko: ideowej treści w cierpieniu, bez czego „przyszłe pokolenia będą z ludzi martwych", ponieważ te pokolenia przyszłe będą wypadkową wszystkich pokoleń niewoli. Ale ta ideowa treść cierpienia nie może się uświadamiać w masach. Cierpienie ogółu skupia się także w jednostkach, które pogłębiają w sobie ogrom męki przez to, że widzą i czują za miljony, jak Konrad w Improwizacji. I dlatego Anhelli staje się ostatecznie ofiarą jednostkową. W ten sposób dochodzi Słowacki do ponownego podkreślenia roli jednostki w społeczeństwie, także i od tej strony zagadnień.

A teraz kwestja nowa, a mianowicie, jaką jest rola poezji w życiu narodu podbitego, co wiąże się organicznie z dwiema poprzedniemi kwestjami, t. j. walką narodu o niepodległość i jego cierpieniem, co w rezultacie dawało pełny wyraz tragedji polskiej.

Tak. Poezja polska po roku 1831 miała odwagę spojrzeć w oczy męce, aby ją wystawić przed oczyma dusz, w tem przekonaniu, że była krzywdą, a mogła być odkupieniem. Ból ginącego narodu, rozpacz umierających w walce o życie i wolność, tragedja walki bez zwycięstwa, a potem krzyk zemsty, a potem modlitwa — oto podstawa sztuki polskiej tego czasu. Wyraz tym zagadnieniom dał Słowacki w Lilli Wenedzie. Mniejsza z tem, że w tragedji Derwid i Lilla przypominają Edypa i Antygonę, albo Ossjana i Malwinę, albo też Leara i Kordelję, mniejsza z tem, że w pieśniach Ossjana mamy harfiarzy — bardów, nieodstępnych towarzyszów walki, że harfy miały tam w sobie czarodziejskie życie, jak i w Lilli Wenedzie, mniejsza z tem, że Roza Weneda przypomina druidessę Velledę z Męczenników Chateaubrianda, a Lelum i Polelum przypominają rzeźbę florencką, wyobrażającą Menelausa z trupem Patrokla, zaś cała scenerja walki, przy odgłosie piorunów, z przepowiedniami Rozy Wenedy, odpowiada duchem skandynawskiej Eddzie, że nawet Ślaz ma szereg odpowiedników u Calderona i Szekspira — wszystko to nie zmniejsza wartości tragedji, która nie ma sobie równej, jako tragedja narodu ginącego. Zdawałoby się napozór, że Lilla Veneda jest poematem śmierci. Ginie tu naród, a tragedję powiększa fakt, że ginie w walce, spełniwszy swój obowiązek do końca, że mu nie brakło odwagi i poświęcenia. Prawda, że Wenedzi czekają cudu, aby usłyszeli pieśń Derwida od pokoleń nie słyszaną, ale oni walczą i ulegają losowi. Brakowało im wiary w duszach, czekali na nią zzewnątrz, aż będzie im przydana, jakby w swoim idealiźmie chcieli zwyciężyć wroga pieśnią, gdy należało go bić żelazem i ogniem.

W czasie swojej podróży na Wschód Słowacki przeżywał wszystkie te zagadnienia i przeszedł przez ponowną analizę narodu. Natenczas stwierdził fakt dwoistości duszy polskiej: jedna, to czerep rubaszny z ciała i krwi, z codzienności i śmiechu, z głupoty i złej woli, z egoizmu i ciemnoty, druga, to dusza anielska, to czysty idealizm, niejednokrotnie niezdolny do życia. (Grób Agamemnona). Ten sam idealizm wyobraził Słowacki w Anhellim i postawił nad nim zdrowy instynkt narodu. Teraz w Lilli Wenedzie ten sam idealizm upada w walce z barbarzyńcami, ale w tem leży bezbrzeżny smutek poety. Z Wenedów nie pozostaje nikt, umiera gołębica Lilla, umiera harfiarz Derwid, giną synowie króla, rozsypują się prochy królów dawnych, giną rycerze —

i tak na wieki już i tak na wieki —

woła na zgliszczach posągowa Roza Weneda, jedna, która została żywa.

I oto właśnie tutaj wysuwa się na czoło zagadnienie sztuki, a w tym wypadku poezji, w życiu narodu podbitego. Natenczas pieśń ojczysta, bohaterska mówi o przeszłości umarłej i budzi ją w duszach na zmartwychwstanie, stając się nadto wołaniem o zemstę:

Z ust się wydziera krzyk o zemstę Boga,
Czekamy wszyscy, drżąc, na piorun z chmur,

A kiedy milczy niebo — śpiewa chór,
A kiedy śpiewa chór — drży serce wroga.

drży, ponieważ poezja taka w duszy narodu podbitego budzi moc, tę moc, która ludzi na wyłom popycha.

Jak widzimy, wrócił tutaj Słowacki do założeń z Kordjana, do konieczności rozmarzenia duszy narodu w niewoli, jeżeli to upadł naród wielki, jego wielkością i sławą. To samo mamy w pieśni Wajdeloty u Mickiewicza w Konradzie Wallenrodzie.

Po latach, w Samuelu Zborowskim, Słowacki wrócił jeszcze do tej samej kwestji i mówi, podobnie jak Norwid w Promethidjonie, o roli sztuki w Polsce:

...Sztuka, rzecz to wielka
Narodów całych często zbawicielka
Przechowująca na dnie duszę duszy

oraz stwierdza, że w Polsce sztuka przemawia do dusz i niemi włada, że w Polsce naród w sztukę swoją wierzy i za nią idzie,

Taka jest wielka moc błyskawic w łonach,
Że dotknij, a wnet piorun ci wyskoczy
Z każdego serca...

Słowacki, tak pojmując rolę sztuki w Polsce i takie widząc jej skutki, nie wyrzekłby się nigdy swojej roli twórcy, swojej roli poety — dla niego przestać tworzyć byłoby to samo, co umrzeć, jakoż do końca wszystkie problematy rozwiązywać będzie na płaszczyźnie sztuki. Kiedy Mickiewicz pod wpływem Towjańskiego zdobędzie się na ofiarę z siebie, jako artysty, Słowacki, przeciwnie, stanie się wtedy potężnym artystą, sztukę swoją pogłębi ideowo aż do zawrotnych przepaści i wyżyn.

A teraz jego przełom religijny.

Wychowany w atmosferze wolnomyślnej, wolterjańskiej, w domu, Słowacki nie był nigdy obserwantem, co nie wykluczało religijności duszy. Słowacki nie wiedział przez szereg lat o swym ukrytym skarbie ducha, że będzie zdolnym do samoprzemiany pod wpływem prawd religijnych. Nawrócenie jednak Słowackiego nie odbyło się nagle. Pierwsze jego nastroje religijne zaznaczają się wyraźnie już w czasie podróży na Wschód. Wtenczas (w styczniu 1837 r.) noc, spędzona na grobie Chrystusa, daje mu niezapomniane przeżycia.

I, porzuciwszy drogę światowych omamień,
I, wysłuchawszy serca, gdy rzekło: jam czyste,
To rzuciłem się z wielką rozpaczą na kamień,
Pod którym trzy dni martwy leżałeś, o Chryste!
Skarżyłem się grobowi, a ta skarga była
Ani przeciwko ludziom, ani przeciw Bogu...

Odtąd można już mówić o odrodzeniu religijnem Słowackiego, które ideowo pogłębi się po zetknięciu się poety z Towjańskim aż ogarnie go płomieniami uczuć. Wtedy też wypracował Słowacki swoją mistykę.

Podstawową tezą mistyki Słowackiego jest, że wszelka widzialność, że wszelkie kształty bytu stworzone są przez ducha i dla ducha na drodze ewolucji, a nic dla cielesnego celu nie istnieje. Twórcami są tutaj duchy, które na początku były w Bogu i poprzez miłość życia zażądały od Niego kształtów, a Bóg natychmiast uczynił je widzialnemi. Wtedy rozpoczął się okres kosmogoniczny pracy ducha i odtąd grzechem było zaleniwienie ducha na drodze postępu, co sprowadzało interwencję Boga. Potem idzie okres drugi, ewolucja form globowych. Duchy, przedzierając się przez materję, tworzą coraz doskonalsze formy, aż do człowieka. Są to moce duchowe pojedyńcze, z których każda indywidualnie odbywa drogę żywotów — stąd różne stopnie zdobytego rozwoju. Duchy wypracowują swoje formy wyższe indywidualnie, nie działają zbiorowo. Dane indywiduum duchowe przez miłość wypracowuje w sobie doskonalszą formę bytu, do której wznosi się przez ofiarę, t. j. przez śmierć swojej formy dawnej. Zmiana formy jest tu warunkiem postępu, którego prawem jest śmierć, a przedtem miłość. Na drodze genezyjskiej jedne duchy wyprzedzają inne w rozwoju. W tem tkwi także kaimostwo natury, że duch o formie wyższej „uczuł podległość porzuconej przez siebie formy". Ale i w ten sposób również przyspieszał się pochód ducha ku formie ludzkiej, jak dotąd, najwyższej. Jednostki duchowe wyższe uświadamiają sobie formy dalsze, do nich dążą i pociągają za sobą duchy niższe. W ten sposób i tutaj dochodzimy do podkreślenia roli jednostek na tle pluralizmu duchowego. Takie przodujące jednostki duchowe stają się potem duchami-królami w życiu narodów.

A zatem najwyższem prawem ducha jest postęp, cała zaś mistyka Słowackiego staje się religją postępu. Celem finalnym ducha jest imanacja w Boga i musi on rość do światła w sobie, którem przepromieni się byt. Dotąd forma ludzka jest najwyższą, wypracowaną przez ducha, atoli nie ostatnią, celem człowieka, jako takiego, jest równowaga ducha z ciałem.

Dalej postęp ducha odzwierciadla się w dziejach ludzkich. Siły twórcze pozostają te same: wola, tęsknota i miłość do ideału, nadto ofiara z wypracowanych dotąd form bytu — a zatem dalszy i nieustanny postęp. W dziejach ludzkości duchy skupiają się w narody, którym przodują jednostki, te właśnie Króle-duchy. W ten sposób dochodzimy do problematu Polski.

Kult jednostki mamy również w całej rozciągłości u Mickiewicza, który pogłębił go religijnie w okresie rzymskim. Łączy się tu prometeizm ze świętością plus pokorą w Bogu, przeorana przez miłość, ale takiej jednostce, postawionej ponad narodem, ten ostatni mandatu nie daje: decyduje tu moc miłości i siła ducha. Słowacki w jednostce genjalnej podkreślał zasadniczo dwa rysy: świadomość przyszłych dróg narodu i ludzkości oraz zdolność do zaprzeczań teraźniejszości w duchu, czyli nadawał jej Słowacki prawo veta. Zagadnieniu temu poświęcił poeta tragedję, p. t. Samuel Zborowski.

Jest to bezsprzecznie najpotężniejszy dramat Słowackiego: łączy w nim swoją naukę genezyjską z problematem Polski. I tak: duchy wyższe, te opatrzone widzeniem przyszłych kształtów, stają się u Boga adwokatami natury, a z drugiej strony nie pozbawione są wyraźnych cech prometejskich, jako te, które czują się stworzycielami kształtów i nie chcą uznać Boga nad sobą i mówić doń pacierzy. Ma to w sobie coś z buntu szatanów i takim też jest obrońca Samuela na sądzie niebieskim, Lucyfer vel Bukary. Sprawa Zborowskiego toczy się tutaj po wiekach, już po upadku Polski. Jest Zborowski jednym z tych ludzi w Polsce, którzy, idąc do form przyszłych, rozsadzali sobą teraźniejszość i stawali w kolizji z prawem, które tu uosabia hetman i kanclerz, Zamoyski. Idzie o to, że kanclerz, stróż krwi i prawa, ściął człowieka, w którym była „myśl, co narody rodzi". Nie idzie tu o sprawiedliwość względem jednostki, ale o tę bożą sprawę,

Która musi być wygraną w niebiosach,
Nim ją anieli na tęczowych rosach
Zniosą na ziemię, czem piekło zatrwożą
I w serca ludzi gorejące włożą...

Idzie mianowicie o to, że w tym człowieku dążyła Polska w górę, że

...Duch, lecący pióry anielskiemi
Z pod formy, co go zaczynała cisnąć,
Lecąc do Boga, formą miał wytrysnąć
Nową, jak złoty kwiat na grobowisku
Formą piękniejszą tem, że z pod ucisku
Wstać i z serc samych wielką mocą wziętą
Rosnąć już, gwiazdą zaczynała świętą
Błyszczeć na ziemi...

Idzie o to, że duch na ziemi „wielmoży" się Bogiem i stwarza kształty coraz nowe — i w tych się kształtach znów wyżej podnosi, — zostawiając formy dawne duchom niższym.

Więc, kto chorągiew ducha wyżej stawia
I przedstworzoną objaśnia ciemnicę.
Kto stawia mówię, nową ducha świecę,
Do której lud inny powoli dochodzi
Ten mówię, jakby nową gwiazdę rodzi,
Do której wszyscy my powoli dążym,
I może nazwać się boskim chorążym.
Jeśli na drodze boskiej znalazł drogę.

Dalej. Chrystus cierpienie ludzkie uświęcił był swoim krzyżem: to znaczy postawił go tam, gdzie człowiek mocen jest cierpieć dla idei, i dla niej umrzeć —

i nie ulęknie się wiecznej mogiły.

A zatem męka Chrystusa była uświęceniem ludzkiej ofiary, przez którą człowiek zdąża w przyszłość, była uświęceniem męki ludzkiej, a w tym wypadku męki narodu. Stąd droga ducha wiedzie przez Polskę i — za nią ginąć każe. I jest też chrystusowym duchem ten, który popycha Polskę na drodze życia ku formom coraz wyższym, aż stanie się Nowe Jeruzalem na ziemi, jakby nowa epoka. Tu przypomnijmy Ojcze Nasz Cieszkowskiego i Krasińskiego Przedświt.

Kto jest duchem wyższym, kto ma w sobie nieśmiertelną istotę i kto ją w sobie czuje, ten wie,

Że coś większego ze świata być może,
Gdy się urodzi nowość z ducha cudów,
Niż gniazdo nędznych i cierpiących ludów,
Które za jadłem ciągle łażą chciwie

Atoli z drugiej strony — każdy rząd swój tor ma — mówi Słowacki,

i depce głowę ducha, idąc z góry,

w rezultacie czego musi być niewidzialna forma pracy ducha,

Zamieszkująca tęczowe lazury
Większej piękności od gwiazd i miesiąca,
Codzień ku duchom naszym zlatuiąca,
Jeszcze wysoko, jeszcze w łonie Pana
A już przez oczy niektóre widziana,

co właściwie jest niczem innem, jak, rozsadzającą teraźniejszość, tęsknotą do ideału i umiłowaniem ponad wszystko przyszłych, doskonalszych form istnienia.

A teraz zagadnienie, co znaczy Duch-wieczny rewolucjonista u Słowackiego?

Idzie o to, że jednostka duchowa wyższa, dla celów dalszych, dla rozwoju ludzkości czy narodu, może stać się nawet tyranem i iść przez mękę ciał po drogach ducha. Problemat ten ujął Słowacki w krwawej postaci Popiela, w pierwszym rapsodzie Króla Ducha. Jest to okrutny władca i tyran, ale nie pospolity zbrodniarz. Postanawia on męką zatrwożyć niebiosa, aby się upomniały o ludzi, świadcząc, że pod męką ciał jest żywy duch. Pozatem męka ta hartuje naród, który śmiercią gardzi, bez czego nie wypełni się genezyjskie prawo postępu, bez której pogardy śmierci duch leniwieje w pracy. Zagadnienie to w życiu narodów ważne i konkretne: cierpienia i wstrząsy urabiają ich psychikę, ale w tem musi być idea życia. Największym grzechem ducha jest zaleniwienie w postępie i tutaj możliwą jest tyranja, która niekiedy z całą brutalnością przemocy i z bezwzględną pogardą dla zwyciężonych może być „polanem w Pana Boga dłoni" na ludzi, jak mówi o sobie Khan w ułomku dramatu, p. t. Książę Michał Twerski.

Ja jestem żywot dla tych psów i droga,
Ja jeden z świata całego wybrany,
Na duchu królem ludów naznaczony,
W ciało ubrany psie, takie, jak oni —

mówi o sobie Khan i czuje w sobie niewidzialne siły i czuje w sobie moc nieznaną, którą wywołuje ducha upiora i drażni mózg swój czerwony. Taki może być narzędziem w ręku Boga, zatracicielem ciał, ale nie wyższych form życia, które buduje miłość. I dlatego też Popiel po swojej śmierci przechodzi przez straszną

udrękę ducha,widząc, jak po nim rządzą krwawo inni, z tępotą okrucieństwa, ale bez myśli bożej, tyrani sami przez się. A potem Popiel włóczy się upiorem po ziemi, aż kiedyś, po oczyszczeniu się męką i miłością, nie pobłogosławi siedemkroć naturze i ludziom. Tak pojęty postęp ducha i jego praca, naturalnie, dają się pomyśleć tylko na drodze metempsychozy.

Jak widzimy, problemat Polski pogłębił się całą Słowackiego nauką genezyjską, zespolił się z nią najściślej i skojarzył. Pogłębiło się tu również pojęcie narodu, jako zbiorowości duchowej, którą poprzez dzieje wiodą jednostki duchowe królewskie, nie jeden wszakże Król Duch, ale Królowie-Duchy.

Pogłębiło się też ostatecznie i zagadnienie ducha narodowego w ideologji naszego poety. Utrzymał Słowacki w całej rozciągłości swój pogląd dawny na dwoistość pierwiastków w duszy polskiej, dając mu postać mytu polskiego, około którego osnuł teraz polską Księgę legend w Królu Duchu. Jest to najgłębsza synteza duszy polskiej, na jaką zdobyła się nasza sztuka.

Opowiadanie to nie ma nic wspólnego z tak zwaną historją bajeczną Polski. Słowacki sam tworzy w tym wypadku symbole, mające zilustrować właściwe założenia ideowe. Pamiętajmy jednak, że twórcami historji bajecznej, właściwie, są pierwsi nasi kronikarze. Nie ulega wątpliwości, że Gallus sam z siebie dla podniesienia apoteozy Piastów, dla nadania im aureoli nadziemskiej w początkach ich panowania, tworzył myt o aniołach u kołodzieja Piasta, podobnie, jak Wincenty Kadłubek wysnuł całą historję o Krakusie i Wandzie, które to historje zmieniał dowolnie, na swoją rękę, w kilka wieków później, w swojej kronice Długosz. Otóż tak samo Słowacki chciał stworzyć narodowi myt, w którym byłaby zawarta synteza jego duszy. I tak, opowiada Słowacki w Księdze legend historję o Ziemowicie i Wodanie, synach Piasta, tudzież o matce ich, dumnej kmieciance — Pysze. Wodan był starszy, był ulubieńcem matki, Ziemowit młodszy, dziwne pacholę, pełne miłości i pokoju. Wodan był

Czarny, jak stal, ciemny jak mogiła
Ten drugi — róża rozkwitła i świeża
I w nim jest miłość, ale w tamtym siła.

Kiedy przyszli aniołowie do Piasta, aby zlać ducha bożego na jednego z jego synów, pominęli Wodana, a uświęcili Ziemowita, który zajaśniał odtąd blaskiem świętości i ukochania aż do czynienia cudów, leczenia chorych i układania pieśni, tak że

ludowi swemu stanął za proroka.

Atoli dumna Pycha, osoba duchowa i mocna, lecz nienawistna i zła, postanowiła wykraść Ziemowitowi moce Boże i przelać je na Wodana i siebie, aby niemi rządzić nad przyrodzeniem i narodem. Kradzieży dokonała tak, że najpierw uderzyła przed Ziemowitem w pokorę, upadła na twarz przed nim, jak przed samym Bogiem i wyżebrała odeń dar aniołów. Następnie Pycha uciekała ze skradzionym duchem, wlokąc za sobą Wodana, w którym duch, nie jemu pożyteczen, łono rozsadzał i kości łamał. Uciekała Pycha,

a skłamanie
Już przemieniało w niej ducha istotę,

aż stała się śmiercią, nabierając przytem „straszliwej odwagi". Była w niej potężna siła ducha, ale ujemna, w którą obróciły się moce święte, ofiarowane przez aniołów jasnej i czystej postaci Ziemowita. Pycha tymczasem rosła w potęgę ducha, który przybierał już znamiona szatanizmu i opanowała wszystko, co w narodzie było śmiercią i nocą. W rezultacie Pycha mocna była uśpić cały naród i zatrzymać w nim wszelkie życie, z czego nie omieszkał skorzystać Otton, cesarz niemiecki. Udała się teraz dumna królowa z Wodanem do trzech pustelników

pod strażą orła, gadziny i lwicy
i wytworzyła czar, od którego naród popadł
w sen głęboki:
...Wiec się, śpiąc, duchy narodowe wsparły,
Ten o kolumnę, ten o pług pożywny,
Trzeci o sztandar oparł się pobladły;
Wszystkie stanęły — ale nie upadły.
Nie — nie upadły... lecz wszystkie stanęły:
Ten w polu — a ten na zamku — a drudzy
Schyleni stali nad marnemi dzieły,
Wieczni — zwyczaju i form dawnych słudzy...
A inne, które się na palcach wspięły
Patrząc daleko na kraj jakiś cudzy,
Niepomne swojej narodowej chwały,
Śpiąc, nie upadły — ale tak zostały.

Nie można tu nic dodać, do tego obrazu śpiącego narodu, tak jest doskonały i wierny. A teraz przebudzenie ze snu. Przyszedł „błyszczący duch" do Ziemowita i kazał mu iść obudzić samego tylko księcia Popiela, a zatem jednostkę, która budzi potem naród i życie wokoło. Nakazuje mu anioł wstać, wziąć na się „z płótna ubranie pokorne", do rąk zaś zapalona świecę i iść, nie dając się złudzić blaskom uśpionego życia, ani też wpadać w tęsknotę na widok uśpienia, aż wszystko obudzi sobą z uśmiechem, oświeci blaskiem swego ducha, w prostocie uczuć. Ta postać Ziemowita z cudownem światłem nad głową, z zapalona świeca w ręku, idąca przez uśpioną Polskę, to ostateczny symbol duszy anielskiej narodu, która sobą przewłada niemoc śmierci, i rozpłomieni dusze pieśnią, aby je ożywić mocą, która budzi śpiące.

Naród tedy spać nie może, nie może się zatrzymać w swoim pochodzie ducha: dotyczy go to samo genezyjskie prawo postępu. Jednostka duchowa genjalna ma tutaj prawo veta, z którem zaprzecza współczesnej sobie teraźniejszości, a nawet może, jak archanioł ognisty, stanąć wpoprzek ogółowi, jeżeli ten do snu i śmierci zdąża. Śmiercią dla ducha jest zaleniwienie w pracy, umiłowanie starych form życia, będących kamieniem dla duszy, której celem jest dążyć ciągle naprzód aż do prześwietlenia sobą bytu.

W ten sposób problemat Polski utożsamił się tutaj z ideą wieczystego postępu, który wszak, że nie jest wyłącznie ewolucją, ale może być także osiągany przez kataklizmy rewolucyjne. Polska tymczasem była w niewoli i nie mogła zdążać po swoich drogach ducha. Jakoż raz jeszcze, wysuwał się tutaj problemat cierpienia, które miało zostać męką ciał, nie naruszywszy dusz. Ostatecznie Słowacki stwierdził, że naród w niewoli duchem nie upadł, co stało się dlań argumentem modlitwy za Polskę:

We łzach, Panie, ręce podnosimy do Ciebie,
Odpuść nam nasze winy!
Niech będzie Twoja wola na ziemi i w niebie,
Przez nas czyń Twoje czyny!
Niechaj się Twoje imię na wysokościach święci,
Niech się święci trzy razy!
Abyśmy już nie byli z ksiąg żywota wyjęci
Dla naszych ran i zmazy.
Wspomnij, cośmy cierpieli pod chłostą tych mocarzy,
A duchaśmy nie dali;
Nie poznaliby ojce naszych bolesnych twarzy,
Gdyby z grobowca wstali.
Gdyśmy cierpieli mocno, wołaliśmy do góry,
Jak gołębie — nie ciśnij! —
Duchy, jak gołębice rozleciały się w chmury;
Zatrwóż, niech wrócą! — błyśnij!
W tej błyskawicy, Panie, ujrzym się i zdaleka
Brat pozna swego brata
I wejdzie nieśmiertelność, jako anioł w człowieka,
I staniem ludem świata!

Zmartwychwstanie Polski, jak widzimy, kojarzy się tutaj z myślą o wielkiej przemianie człowieka i życia. Przemiana ta dokona się siłą faktów przez naród, który nie zagubił w sobie ducha, będąc w niewoli, który cierpienie swoje uchrystusowił, podnosząc je do godności ofiary i męki za ideę, tym razem zmartwychwstania ludów. Tu już Słowacki jest mesjanistą, ale mesjanizm jego ogranicza się do wiary, że droga ducha wiedzie przez Polskę, która wypracowuje w sobie genezyjską wiedzę postępu, tak, jak u Krasińskiego wiodła również przez Polskę, która wypracowała w sobie wiedzę trzeciej epoki na ziemi, epoki Królestwa Bożego, jak u Mickiewicza, który czynił ją ludem ludów za tę samą mękę i trud dla zbawienia narodów.

Dalej. Pokolenie polistopadowe, a z niem i Słowacki, wierzyło zrazu w możność dalszej walki polskiej o niepodległość na tle powszechnej rewolucji ludów. Ale t. zw. Wiosna ludów przyszła później, gdy zagęściły się już groby polskie na emigracji. Słowacki w roku 1848, na samą wieść o wybuchu walki w Poznańskiem, będąc już śmiertelnie chorym, spieszy do kraju, aby móc duchem pokierować sprawy. Podobny był wtedy do Mojżesza w walce z Amalekitami. Lecz Polska wtedy nie powstała. I stało się dlań pewnością, że najpierw duch narodu musi się przeorać w głąb wewnętrzną prawdą moralną, aż się podniesie naród i zmartwychwstanie naprawdę. Będzie to zmartwychwstanie prawdziwe. A kiedy tak

...prawdziwie Polacy powstaną
To składek zbierać nie będą narody,
Lecz ogłupieją — i na pieśń strzelaną
Wytężą uszy, odemkną gospody,
I będą wieści z wichrami wchodziły,
A każda będzie serce ludów pasła,
Nieznajomemi świat poruszą siły
Na nieznajome jakieś wielkie hasła.

I nie pojmą natenczas ludzie, dlaczego ten naród powstał z grobu nie w imię rozpaczy i zemsty, nie pojmą też,

jaką duch odbył robotę
W przeświętej serca ludzkiego ciemnicy
I przez sztandary jest tłuczony złote
I przez bój wielki przy dział błyskawicy,

albowiem, jak twierdził Słowacki, Polska powstanie — „bez zwierzęcego krzyku".

I oto właśnie tutaj moglibyśmy się spytać, sami siebie, czyśmy tak zmartwychwstali z niewoli? czy Polska jest dla nas wielką bożą sprawą, która musi być wygraną na głębinie dusz, czy stała się dla nas wewnętrznym trudem i męką w wypracowywaniu nowych wartości życia, czy przez Polskę idziemy dalej w wieczystym i nieustannym pochodzie ducha?

Dalej. Jako człowiek, będzie Słowacki wzorem mocy charakteru w przeorywaniu się prawdą wewnętrzną aż do zupełnej samoprzemiany, czem przypomina postać św. Franciszka z Assyżu. Jego ostatnie lata życia były nieustannym trudem wznoszenia się na wyżyny prawdy i wypracowywaniem w sobie świętości ducha. Stanął też Słowacki wtenczas na takiej wyżynie, do której nie wielu danem było wznieść się za życia. Duchem swoim sięgał wstecz do prapoczątków bytu w łonie samego Boga i naprzód, aż się wypełnią cele finalne człowieka i świata. Przypominał swoje żywoty dawne przez anamnezę i prawo biogenetyczne ducha, aby już w niczem nie uchybił swojemu przeznaczeniu, aby ten żywot jego na ziemi był ostatni, aby wypełnił w nim wolę Bożą i odszedł stąd na zawsze.

Ale Słowacki na zawsze nie odszedł. Jest on jednym z tych ludzi, którzy sobą, życiem swojem i trudem zdobywają takie wartości, do których inni muszą iść powoli. Ludzie tacy nie odchodzą z ziemi, nie zabiera ich śmierć, nie unicestwia ich czas, stają się oni wielkością, o której powiedział Wyspiański:

Wielkości komu nazwę twą przydano,
Ten tęgich sił odżywia w sobie moce
I duszą trwa, wielekroć powołaną.
Świecącą w długie narodowe noce;
Więc choć jej świeży grób opłakiwano,
Przemoże śmierć i trumien głaz zdruzgoce;
Powstanie z martwych na narodu czele
W nieśmiertelności królować kościele. (Kaz. W.).

Jakoż nie prochem i niczem wraca teraz Słowacki do kraju, lecz żywa swoja moca ducha, i nie jak trup spowity w czechło, lecz jak narodu Król-Duch.

Nie będziemy świadkami samego pogrzebu, ale triumfu, który przejdzie przez całą Polskę, od fal Bałtyku i stwierdzi swoją obecność nawet tam, gdzie nie było nadziei i panowania polskiego, aż wejdzie w sławie i mocy na Wawel.

Kazimierz Kosiński.

EWANGELICKO-REFORMOWANY DJAKONAT.

Nie jednego z czytelników naszych zadziwi może tytuł powyższy, gdyż o djakonacie w Kościele naszym mowy dotychczas nie było. Postaramy się w niniejszym artykuliku naszym wyjaśnić rzecz całą, aby pozyskać dla poruszonych w nim zamierzeń sympatję i poparcie współwyznawców naszych.

Wiadomo, że już w czasach apostolskich, kiedy młodemu Kościołowi przybywało na każdy dzień wyznawców i między nimi coraz więcej znajdowało się biednych, opuszczonych, wdów i sierot, Kościół, idąc za radą Apostołów, ustanowił specjalny urząd w Kościele, którego przedstawiciele obowiązani byli pełnić służbę przy przygotowywaniu codziennych uczt miłości i obdzielaniu darami, znoszonymi w ofierze, tych właśnie ubogich i opuszczonych, podczas gdy sami Apostołowie, jak czytamy w Dziejach Apostolskich (6.4), „modlitwy i usługi słowa pilnować" postanowili. Ci do usługiwania powołani, którym rychło opiekę nad chorymi powierzono, nosili nazwę „djakonów" od greckiego słowa „diakonia", co znaczy „służba, usługiwanie."

Kościół chrześcijański po wszystkie wieki swego istnienia kładł zawsze wielki nacisk na potrzebę i konieczność roztaczania opieki swej nad najuboższymi i najnieszczęśliwszymi członkami Kościoła. Były wprawdzie czasy, kiedy o tych obowiązkach miłości chrześcijańskiej zapominano w Kościele, lecz zawsze potem budziło się poczucie konieczności naprawienia zaniedbania, a zwłaszcza Reformacja XVI wieku wysunęła na czoło haseł swoich konieczność stwierdzania wiary zbawiennej czynną miłością.

Szczere okazywanie czynnej miłości i pomocy opuszczonym i nieszczęśliwym może być tylko owocem prawdziwej i żywej wiary człowieka i jest zarazem objawem istotnej jego religijności. Wszystka nasza kościelność i nasze przyznawanie się do zasad nauki Chrystusa Pana jest powierzchowne, jest pustą formą tylko bez treści, jeżeli wiara nasza nie okaże się czynną w miłości. To też w czasach, kiedy w Kościele panowała skostniała dogmatyczna prawowierność, lub racjonalizm mroził głębsze uczucia religijne, żywa wiara przestawała być wyrazem wewnętrznego uduchowienia i uświęcenia, a jednocześnie zanikała też natychmiast i miłość i brakło jej pięknych i błogosławionych owoców. Przeciwnie, kiedy Kościół przeżywał czasy duchowego przebudzenia i wierzenia ustępowały miejsca wierze żywej, natychmiast i owoc tej wiary — miłość rozlewać poczynała ciepłe promienie swoje dokoła, tworząc niezliczone dzieła miłosierdzia chrześcijańskiego.

Kościół chrześcijański, bez względu na panujące w nim chwilowo kierunki, po wszystkie wieki istnienia swego wierny pozostał zawsze jednemu z najprzedniejszych zadań swoich, krzewienia chrześcijaństwa wśród ludów niechrześcijańskich, aczkolwiek często używał ku temu środków bezbożnych, uwłaczających świętości idei i przynoszących w następstwie szkodę samemu Kościołowi. Krzewieniem przez Kościół chrześcijaństwa wśród ludów pogańskich zajmuje się dział pracy kościelnej, zwany misją wśród pogan, albo misją zewnętrzną. W łonie jednak samego Kościoła, który z organizacji czysto duchowej stał się z czasem w dużym stopniu organizacją świecką, wiele jest powierzchowności, formy, a nawet martwoty duchowej, co sprawia, że wielkie masy imiennych chrześcijan wewnętrznie od Kościoła odpadły, dla Boga i spraw religji zupełnie obcemi się stały, niczem się pod tym względem od pogan nie różniąc.

Takich pogan w łonie chrześcijaństwa pozyskiwać dopiero należy dla Chrystusa, nauki Jego i Królestwa Bożego, i tem pozyskiwaniem martwych, imiennych chrześcijan dla chrześcijaństwa i jego istotnych zadań i celów zajmuje się w Kościele misja, dla odróżnienia od misji wśród pogan, czyli zewnętrznej, zwana misją wewnętrzną.

Misja wewnętrzna, przystępując do pracy pozyskiwania dla Chrystusa wewnętrznie odpadłych od Kościoła, aż nazbyt często przekonywać się jest zmuszoną, że to wewnętrzne zerwanie z chrystjanizmem następstwem jest rozmaitych niepowodzeń życiowych człowieka, których wynikiem nawet skrajna nędza materjalna być może, i że układ stosunków społecznych doby dzisiejszej, warunki ekonomiczne, w jakich żyjemy, składają się na to, że nie jedno serce, karmiące się jadem rozgoryczenia z powodu krzywd doznawanych, pełne jest nienawiści w stosunku do bliźnich i niechęci do Kościoła, któremu zarzucają, że nie czyni nic, albo bardzo mało, aby tym krzywdom społecznym zapobiegać, lub je zupełnie usuwać. Misja więc wewnętrzna, pragnąc goić rany duszy, nie może zapominać o ciele, niosąc nędzarzom duchowym w Słowie Bożem chleb dla duszy, drugą ręką podawać im musi chleb ziemski, leczyć nędzę cielesną. W ten sposób staje się działalność charytatywna misji wewnętrznej najgłówniejszym i najskuteczniejszym orężem w jej ręku w walce z pogaństwem w świecie chrześcijańskim.

Oczywiście praca misji wewnętrznej możliwą jest tylko tam, gdzie w Kościele pewne przebudzenie i ożywienie duchowe i religijne nastąpiło. Tylko ten, kto w żywej i w miłości czynnej wierze swej znalazł osobiście prawdziwe szczęście wewnętrzne i pokój serca i sumienia w świadomości synostwa swego u Boga, kto w żywej z Zbawicielem swoim pozostaje społeczności, tylko ten pragnie, aby szczęście to i bliźniego jego udziałem się stało.

Dzięki Bogu, że i w naszym Kościele tych warunków dla pracy misji wewnętrznej nie brakowało i nie brakuje. Była też ona prowadzona zarówno tu u nas w Warszawie, jak i w parafiach naszych prowincjonalnych. Może nie była zorganizowaną i nie rzucała się w oczy, może prowadzoną była przez jednostki — duchownych, czy ludzi świeckich, i dlatego mało się o niej w szerszych kołach wiedziało. Dziś zmienione warunki, rosnące z każdym rokiem zubożenie i wzrastająca obojętność religijna wymagają skoordynowania pracy i wysiłków, zorganizowania ich i ujęcia w pewne formy.

Istniejące przy Zborze naszym „Kółko Biblijne", mające na celu budzenie i pielęgnowanie wśród członków swoich ducha prawdziwej religijności, świadome jest tego, że prawdziwa religja Chrystusa Pana religją jest miłości i że miłość ta przedewszystkiem zwracać się winna ku tym najnieszczęśliwszym braciom i siostrom, ubogim duchowo i ubogim cieleśnie, chorym na duszy i ciele. W tej świadomości „Kółko Biblijne" stało się „Kółkiem pracy misji wewnętrznej" i z zapałem przystąpiło do tej pracy. Odrazu jednak jasnem się stało, że na to, aby działalność charytatywna sprężyście, celowo i skutecznie prowadzoną być mogła, potrzeba, aby pracę tę wykonywały osoby specjalnie do takiej pracy przez Boga powołane i specjalnie do niej przygotowane, a oddające jej wszystek swój czas i wszystkie swe siły i zdolności. W pierwotnym Kościele byli to djakoni przez Apostołów obrani, w dzisiejszym Kościele Ewangelickim instytucją przed przeszło stu kilkudziesięciu laty do wykonywania pracy charytatywnej w misji wewnętrznej powołaną — jest djakonat. Siostry djakonise w Kościele Ewangelickim są tem, czem w Kościele Katolickim są zakonnice-szarytki, aczkolwiek ewangelickiemu djakonatowi obcy jest stanowczo charakter zakonny. W łonie więc warszawskiego „Kółka Biblijnego" utrwaliło się przekonanie, że i u nas właściwą i bezpośrednią pracę charytatywną objąć powinny siostry djakonise. Dla Zboru Warszawskiego, na razie przynajmniej, było by może wystarczającem pozyskanie jednej choćby siostry djakonisy wyznania naszego, któraby opiekę nad chorymi, opuszczonymi i ubogimi roztoczyć mogła, ale członkom „Kółka" pozwolił Bóg spojrzeć dalej, szersze objąć horyzonty i zrozumieć, że praca misji wewnętrznej objąć winna nie poszczególne tylko środowiska wyznaniowe, ale cały nasz Kościół w kraju i przyczynić się do ożywienia i podniesienia duchowego całego naszego drogiego nam Kościoła. Zrozumiawszy to odważyło się „Kółko Biblijne" na rzecz w naszych warunkach materjalnych wielką i śmiałą, mianowicie na utworzenie w Kościele naszym własnego djakonatu i założenie tu w Warszawie domu macierzystego, wychowującego powołane przez Chrystusa Pana do pracy dla Niego i Królestwa Jego pracownice z łona Kościoła naszego.

Bóg tym zamierzeniom pobłogosławił, pozwolił „Kółku" pozyskać kierowniczkę i wychowawczynię przyszłych naszych własnych sióstr djakonis w osobie siostry djakonisy Marji Tosio, która taką pracą wychowawczą już się zajmowała, co więcej dał nam już dwie młode kandydatki, które Bóg do służby swej powołał i które się właśnie do tej służby przygotowują, wreszcie darował „Kółku" cenną nad wyraz pomoc ze strony miejscowego Kolegjum Kościelnego, które zapewniło djakonatowi naszemu pomieszczenie, a koszt wyżywienia siostry kierowniczki i kandydatek wzięło na rachunek Przytułku dla Sierot.

Inicjatorzy utworzenia własnego naszego djakonatu nie mogą oczywiście żądać od Kolegjum Kościelnego Zboru Warszawskiego ponoszenia wszelkich kosztów, z założeniem i utrzymywaniem djakonatu związanych, więc muszą oni, wraz z „Kółkiem Biblijnem", sami koszty te ponosić, co też i chętnie czynią. Ponieważ jednak koszty te, poza zapewnieniem osobom do djakonatu należącym mieszkania i wyżywienia, są znaczne, a liczba kandydatek przypuszczalnie w niedługim czasie się zwiększy, nie będzie mogło „Kółko" w przyszłości samo kosztów tych pokrywać.

Zaradzić temu może jedynie utworzenie „Koła przyjaciół djakonatu, składającego się z większej liczby współwyznawców naszych zarówno w Warszawie, jak i na prowincji, którego członkowie płacić by zechcieli na rzecz djakonatu choćby małe, ale stałe składki miesięczne.

Zwracamy się więc do wszystkich współwyznawców naszych i ludzi dobrej woli z gorącą i serdeczną prośbą, aby potrzebę istnienia djakonatu uznać łaskawie zechcieli i zamierzenia nasze skutecznie poparli przez liczne zapisywanie się w poczet członków Koła przyjaciół djakonatu naszego.

Zapisy przyjmują: Ks. Stefan Skierski, Leszno 20 m. 3, panna Katarzyna Tosiówna, Leszno 64, Starsza siostra djakonisa Marja Tosio, Leszno 20, oraz kancelarja parafialna, Leszno 20.

Osoby pomienione przyjmują też z wdzięcznością ofiary jednorazowe na rzecz djakonatu, które niezależnie od pokwitowania kasowego i w rubryce ofiar „Jednoty" kwitowane będą.

Ks. St. Sk.

BÓG JEST WSZECHMIŁOŚCIĄ; KTO WIĘC KOCHA LUDZI, TEN SPEŁNIA NAJWYŻSZE JEGO PRZYKAZANIA.

H. SIENKIEWICZ.

DWIE GŁOŚNE KSIĄŻKI.

W dwóch różniących się środowiskach, z odmiennych pobudek i dla zgoła różnych celów pojawiły się dwie książki, które od szeregu miesięcy są przedmiotem niesłabnącego zainteresowania czytelnictwa i krytyki. Przy całej różnicy, jaka między niemi istnieje, obie mają wspólny rys zasadniczy: obie wychodzą z katolicyzmu i obie mają za temat stosunek współczesnego człowieka do podstawowych zagadnień religijnych. Jedną z tych książek napisał Francuz, Georges Bernanos, pod intrygującym tytułem: „Sous le soleil de satan", drugą katolicki teolog niemiecki, Joseph Wittig, pod tytułem brzmiącym już zgoła niezwykle: „Das Leben Jesu in Palästina, Schlesien und anderswo". Pierwsza kisążka „Pod słońcem szatana" jest historją człowieka świętego, ks. Donissana, druga opowiada o życiu Jezusa w Palestynie, na Śląsku i indziej. Upłynie zapewne sporo czasu zanim się krytyka wszechstronnie rozpatrzy w bogatym materjale obu tych książek, które tematem, treścią i formą wybiegają daleko poza ramy utworów beletrystycznych.

Dla księdza Donissana z powieści Bernanosa wiara nie jest stanem psychicznym, pewną odmianą świadomości, czy jakąś teorją, ale żywiołem tak realnym, jak powietrze, którem się oddycha, jak ziemia po której się stąpa. Jest katolikiem bez najmniejszych zastrzeżeń, bez śladu sceptycyzmu. Żyje w atmosferze średniowiecznego ostrego dualizmu: duszy i ciała, Boga i szatana, Kościoła i świata, cnoty i grzechu. Dobro, to Bóg; zło, to szatan. Życie to walka z szatanem. Nie z przenośnią poetycką, nie z mitologematem, ale z realnym szatanem, który niweczy dzieło Boga gdzie może i jak może, a przynajmniej stara się mu szkodzić. Śród ludzi krąży przygodnie w postaci ludzkiej i prowadzi ich na bezdroża grzechu, na zatracenie.

Z tym szatanem walczy ksiądz Donissan przedewszystkiem w sobie samym i wybiczowuje z siebie wszystko, co w ciele swojem i w duszy uważa za szatańskie i złe. Jako duszpasterz i spowiednik zwalcza zło w konfesjonale. Żyje życiem twardem, ascetycznem, nieubłaganem dla siebie i dla innych. Czuje się szeregowcem Bożym, żołnierzem Kościoła powołanym pod broń do walki z szatanem, więc mężnie walczy nienawiścią żarliwą zła. W jego oczach cały świat jest tak dalece przepełniony dziełem szatana, że dla jego rozumienia i odczuwania świata niema dobrotliwej miłości przebaczającego i wyrozumiałego Chrystusa, ale jest szatańskie zło i ciężki obowiązek człowieka zwalczania tego zła wszystkiemi siłami duszy i ciała.

Dla Donissana świat ze wszystkiemi swojemi zjawiskami i istotami jest doskonale sklasyfikowany przez Kościół, który wszystko dobrze przewidział i na wszystko, cokolwiek zdarzyć się może, ma odpowiedni przepis, formułę, gest. Niema więc tu miejsca dla konfliktów, rodzących się na tle powątpiewania i pragnienia całkowitej i zupełnej pewności. Jest tu konflikt duszy żołnierza, który życie swoje związał nierozerwalnie z pewną sprawą i w stosunku do tej sprawy ma tylko dwie drogi: zwyciężyć, albo zginąć. Nie rozumuje, nie obchodzą go żadne finezje teologiczne, pozostawia dociekania swoim przełożonym, którym ufa bezwzględnie, wystarcza mu najzupełniej elementarny katechizm i na jego gruncie stoi twardo jak na skale.

Załamuje się wreszcie, ale nie od wewnątrz. Tragedja jego jest czysto zewnętrzna: jego życie ascetyczne, jego zbożna surowość czynią go w oczach jego bliższego i dalszego otoczenia świętym. Okolica mówi o nim jako o „świętym z Lumbres". Od wieków średnich świat katolicki widzi w świętości przedewszystkiem akumulację sił magicznych. Świętość ma wartość dla katolika o tyle, o ile nie podlega prawom przyrody, ale może je przełamywać czynieniem cudów. Pod tym względem nic się nie zmieniło od czasów św. Franciszka z Assyżu, którego ciało jeszcze za życia uważali Assyżanie za potężną relikwję i dbali o to, aby święty nie umarł gdzieindziej, tylko w mieście rodzinnem i aby nie stracili przypadkiem takiej cudownej relikwji. Więc i od świętego księdza Donissana wierni domagają się przygodnie cudu. Donissan ulega żądaniu nieszczęsnej matki, bierze się za wskrzeszenie jej zmarłego dziecięcia i tu załamuje się tragicznie jego prostolinijna, elementarna wiara. Umiera w konfesjonale, zajęty odpuszczaniem grzechów penitentom. Matka, której zmarłego dziecka nie zdołał wskrzesić, oszalała i odzyskała zdrowie dopiero po odbytej pielgrzymce do grobu „świętego" z Lumbres.

Postać księdza Donissana jest głęboko tragiczna. Człowiek, który bierze dosłownie po średniowiecznemu wszystkie postulaty katechizmu Kościoła rzymskiego i przystosowuje się do nich całkowicie, staje się istotą odwróconą od świata, ślepą i głuchą na wszystko, co ludzkie. Nie opromienia tej postaci miłość Chrystusowa, nie towarzyszy jej ciepło serdecznej radości w Bogu, jest tylko zaciętość walki z szatanem. Przypomina się bardzo żywo Björnsonowski dramat „Ponad nasze siły", pragnienie człowieka przemienienia świata wysiłkiem nadludzkiej własnej woli. Postać księdza Donissana, a raczej jego walka z szatanem przypomina również „Kuszenie świętego Antoniego" Flauberta. I w tym utworze ostry dualizm między Bogiem a szatanem prowadzi do konfliktu, który w walce o niebo zużywa wszystkie siły duchowe i cielesne człowieka, tak że pozostaje po nim tylko wspomnienie jakiejś ponurej szarpaniny o coś, na co nie padł nigdy jasny promień słońca. Książka Bernanosa pozostawia wrażenie ponure. Świat jego powieści jest światem panowania sza-

tana i światem mroków, śród których jak upiory włóczą się nierozstrzygnięte i niepokojące zagadki. Człowiek współczesny nie rozumie jałowej ascezy, bo dla niego jedyną pozytywną wartością ascetyczną jest ofiara owocna, bohaterstwo twórcze.

W zgoła inny świat wprowadza nas katolicki teolog niemiecki, Joseph Wittig. Ten profesor uniwersytetu wrocławskiego posiada nietylko erudycję teologiczną, ale i niepospolity talent pisarski. Lecz talent pisarski nie wystarczy, gdy niema o czem pisać. Wittigowi tematu nie brak. Jest to człowiek, który nietylko posiadł wielką wiedzę specjalną, lecz zarazem dużo myślał i czuł. Tytuł jego dzieła, o którem tu piszę, nie nastręcza zbyt wielkich trudności. Przeciętny, oficjalny, czy metrykowy chrześcijanin uważa życie Jezusa za coś jednorazowego, co kiedyś, dawnemi czasy zaczęło się w stajence betlejemskiej i skończyło się na Golgocie, a zostało omglone dalą i legendami. Dla chrześcijanina, który się Chrystusa nietylko uczył, ale weń wrósł duszą i sercem, Chrystus żyje i działa tem potężniej, im potężniejsze zatacza koło wielkie mnóstwo jego wyznawców. Podczas gdy dla jednych pozostała po nim tylko formuła kapłańska, konsekrująca hostję, będącą lekiem przeciwko śmierci, dla innych potężnieje jego duch i żyje dalej na Śląsku czy na Pomorzu, jak ongi żył w Palestynie.

Zaiste nie ciało Chrystusa było potęgą, ale Duch jego. Otóż przy wszystkich możliwych różnicach wyznaniowych jedno jest jasnem dla wszystkich i nie wymaga żadnych specjalnych objaśnień, że mianowicie Duch Chrystusowy żyje dzisiaj potężniej, niż żył w dniach palestyńskich, gdy za Mistrzem z Nazaretu szła zaledwie mała gromadka uczni. Wszak nawet w najbliższem otoczeniu jego brakło takich, którzy byliby rozumieli wszystkie jego intencje i dążenia. Gorliwy i zapalny Piotr musiał wysłuchać ostrego słowa napomnienia przy Cezarei Filipa, uczniowie pytali go, kiedy wreszcie wyzwoli naród izraelski, chociaż musieli byli słyszeć, to co słyszeliśmy od samego dzieciństwa i my, iż królestwo jego nie jest z tego świata. Do wielu słów Chrystusa otrzymaliśmy komentarz od stuleci historji, po malutkich gminach pierwszych chrześcijan dzisiaj trzecia część ludzkości wyznaje jego naukę, a mało zaiste jest zakątków świata, do których byłaby nie dotarła wieść o nim. Toteż można a nawet może należy mówić o życiu Chrystusa w Palestynie, na Śląsku i gdzieindziej. Dzieje ewangelji są wieczne. Jeszcze dzisiaj wszak rozlega się wieść o królestwie Bożem, w imię Jezusowe ludzie wzywani są do pokuty, w imieniu jego słyszą zwiastowanie przebaczenia i otrzymują obietnicę żywota wiecznego. Jeszcze dzisiaj chorzy, nieszczęśliwi, zrozpaczeni, zawiedzeni, którzy od świata niczego już spodziewać się nie mogą, ku niemu zwracają oczy i do niego wyciągają ręce.

Oto czego można doczytać się w tytule książki Wittiga W samym tylko tytule. Treść jest bogata i odpowiada tytułowi. Jak za czasów palestyńskich dzieją się rzeczy dziwne, że człowiek przepisuje Bogu, jakim ma być i jakim być nie powinien. Chrystus powiedział kiedyś, że nie to kala człowieka, co wchodzi do jego ciała jako pokarm, ale to, co wychodzi z jego serca jako nienawiść, gniew, chciwość, żądza, zła chuć. Powiedział też, że nie człowiek jest dla soboty, lecz sobota dla człowieka. Ale nauczeni w Piśmie, wirtuozowie rytualnej pobożności, kazuiści znający wszystkie teksty i komentarze do nich, nie chcą się zgodzić na takie proste objaśnienie rzeczywistości Bożej i domagają się, aby Bóg był w wyobrażeniu wszystkich takim, jakim go sobie oni wyobrażają.

Jeszcze dzisiaj ludzie chorzy „ucierpią dużo od lekarzy wielu", jak niewiasta ewangeliczna, aż wreszcie, gdy wszystkie leki zawodzą, zwracają się do Chrystusa. I dzisiaj bywają opętani od szatana i daremnie szukają pomocy u ludzi. Po zaułkach o zmierzchu zaczynają snuć się cienie tych, którzy porzucili społeczeństwo i żyją życiem wzgardzonych i potępionych. I nie brak jeszcze Faryzeuszów i kazuistów, którzy przyprowadziliby chętnie niejedną jawnogrzesznicę do Chrystusa, aby ją kazał ukamienować według prawa Mojżeszowego. Znajdzie się też dość politycznej i nacjonalistycznej nadgorliwości, która chciałaby się pochełpić przed uwielbianym Mistrzem, że ten a ten nie jest dość narodowy, a tamten nie dość państwowy. Niejeden zbliżyłby się do Chrystusa, aby po faryzejsku wyciągnąć z niego jakieś słówko, za które możnaby go potem zadenuncjować przed patrjotami. A Chrystus miałby i dzisiaj dość sposobności do powiedzenia, że należy dawać cesarzowi, co jest cesarzowego, a Bogu, co jest Bożego.

W taki zaiste cudowny sposób łączy się życie Jezusa w Palestynie z jego życiem na Śląsku i indziej. Jakiś zacny zwrotniczy jest chory i Jezus przychodzi do niego ze słowem pociechy i zdrowia, jakiś opętany młodzieniec ucieka przed swoimi i ulega łagodnemu wezwaniu, jakiem wezwałby go Chrystus. Ludzie przy pracy i przy odpoczynku dostrzegają analogję z wydarzeniami ewangelicznemi i między dalekiemi stronami ziemi świętej a Śląskiem i między czasami dawnemi a dzisiejszością ustala się taka ścisła łączność, jaka istnieć może tylko w krainie ducha, w której według słów poety niema pożegnania.

W książce Witiga jest np. przygodnie mowa o tem, co to jest być sytym, a co znaczy należeć do tych głodnych, których błogosławił Chrystus. I jakże mądrze powiada ten pisarz-pedagog, że chrześcijanie dzisiejsi bywają nieraz przesyceni nauką religji w szkołach,kazaniami, odczytami, budującemi książkami i czasopismami, tak, iż stają się wreszcie podobnymi do niejakiego obywatela w Lądku na Śląsku, który tyle zawsze jadał, iż nigdy nie miał apetytu. Toteż błogosławieni są ci, którzy przy owocnej pracy tak się wygłodzą, iż każdem drgnięciem duszy łakną pokarmu Bożego.

Tysiączne są okazje, w których Wittig wiąże współczesność z przeszłością. W jego książce istotnie żyje Chrystus na Śląsku i indziej, a za nim idzie wszędzie radosna słoneczność, pokój i pogoda. Niema tu miejsca na rozpaczliwą szarpaninę księdza Donissana z powieści Bernanosa. Książki takie rozsiewają zdrowie i radość i stają się dowodem przeciwko wszechtyranji przestrzeni i czasu. Jak widać, i w literaturze zdarzają się cudowne przeloty Atlantyku na skromnym jednopłatowcu utworu beletrystycznego, bez lądowania. Wittig napisał więcej rzeczy w duchu bezpośredniego obcowania człowieka z Bogiem. Oczywiście, że został ekskomunikowany i musiał ustąpić swoją katedrę katolickiej teologji innemu. Zdaje się wszakże, że nie stracił na humorze i na ochocie do pracy.

P. Hulka-Laskowski.

DOZNANIA RELIGIJNE W NAJNOWSZEJ LITERATURZE POLSKIEJ.

Dokończenie.

V.

Gdybym chciał wyczerpać cały materjał, dający się zużytkować, dla dowiedzenia tezy, że doznania religijne stanowią jeden z głębszych i mocniejszych nurtów najnowszej literatury polskiej, to powinienbym na ten temat napisać całą książkę. Ale mnie w krótkiej pracy niniejszej chodzi o co innego: pragnę poprostu wyjaśnić, dlaczego nawet ci z naszych pisarzy, których nowoczesna struktura duchowa pozornie nie ma nic wspólnego z mesjanicznemi tradycjami romantycznej poezji polskiej, nie mogli jednak przejąć się hasłami historycznego materjalizmu komunistów rosyjskich i ich polskich adherentów — lecz pozostali wierni nieśmiertelnemu przykazaniu Mickiewicza: „O ile polepszycie dusze wasze"...

Sądzę, że piękną i mądrą odpowiedź na to pytanie daje ostatnia powieść Zofji Nałkowskiej „Choucas".

W tej głęboko przemyślanej i odczutej książce— już w końcowych jej, a więc jakby ostateczne konkluzje zawierających rozdziałach — autorka przez usta jednego ze swych bohaterów wygłasza następujące zdania:

„Najważniejszem, co dzieje się w tej chwili, jest proces, który myśliciele nazwali „internacjonalizacją Boga". To jest sprawa olbrzymiej doniosłości, chociaż nie wszyscy to widzą. Bo oto, czego dowiodła Szwajcarja, kraj, w którym myśl religijna najbliżej stoi życia, kraj, który jeszcze dzisiaj ma swoich proroków, rzucających katedry teologji, by mieszkać w dzielnicach robotniczych i głosić bliskie zejście królestwa Bożego na ziemię. Mianowicie, że jest możliwe dla zrealizowania pewnej koncepcji bytu socjalnego, a więc — i moralnego, — pogodzić i połączyć to, co wszędzie indziej wydawałoby się do pogodzenia niemożliwe: języki, rasy i religje nietylko różne, ale i przeciwne sobie, a nawet wrogie. Ten wzór niezwykły, czyniący z ludności mieszanej wielki naród, jest nauką, daną światu, jak ze zwalczających się narodów uczynić ludzkość".

I autorka w ten sposób wyjaśnia dalej słowa: internacjonalizacja Boga.

— „To przecież jasne. Proszę sobie tylko przypomnieć, jak wyglądały wojny dawne. Asyrja walczyła w imię boga swego, Assura, którego władza kończyła się tam, gdzie terytorjum jego państwa. Politeizm naszych przodków to była ciągła, nieustanna zwada bóstw wojujących. Każdy kraik starożytny miał własnego boga, którego wzywał opieki i udziału, miał swego „pana zastępów". I wszystkie dotychczasowe wojny świata wciąż jeszcze usiłują przeniknąć w niebo, militaryzują Boga, żądają, by zestąpił w błoto i krew ziemi. Modły przed bitwą o zwycięstwo, wciąganie sił niebieskich na interwencję—czemże jest, jeżeli nie szczątkiem politeizmu".—„To jest prawda, którą ludzie muszą zrozumieć, że Bóg jest ponad narodami. Muszą zrozumieć, że nie o wszystko trzeba się modlić, że nie o wszystko wolno się modlić." „I przyjdzie czas, gdy wszystkie narody zrozumieją neutralność Boga. Nastąpi Jego internacjonalizacja. A wtedy wojna stanie się niemożliwą, utraciwszy swą sankcję".

Padł protest ze strony jednej z interlokutorek.— „To jest nieprawda, co pan mówi, to są ideje Wilfreda Monod, który nie jest katolikiem. On właśnie przypomina mi waszego „wyzwolonego" szwajcarskiego proroka, Leonharda Ragaz, który nie wiem o czem poucza zurychskich robotników i nie wiem, jak sobie wyobraża królestwo Boże na ziemi — ale myślę, że dosyć podobnie do Republiki Sowietów".

Czyż tak?... Czy rzeczywiście tak?... Autorka od siebie bezpośrednio nie odpowiada na tę supozycję bohaterki swego utworu.

Ale zaraz w następnym rozdziale każe przemówić milczącej dotychczas pani Wogdeman, przebywającej w Szwajcarji pod swem nazwiskiem panieńskiem, bowiem mąż jej jest wybitnym i powszechnie znanym członkiem rządu bolszewickiego.

Początkowo i ona wierzyła w rewolucję.

— „Ja byłam tam, byłam przy nim od pierwszego dnia i widziałam wszystko, walkę i krew!... „Ofiary były straszne, ofiary, o których nawet

nie można myśleć. Więc czekałam. Ale później już nie mogłam czekać". I autorka, słysząc ton uroczysty słów tej emigrantki rosyjskiej, która porzuciła dobrowolnie ojczyznę i ukochanego męża, wyjaśnia:

— „Tak, to było w niej najsilniejsze: zrozumieć, czem jest klęska moralna. Temu odpowiadało coś gotowego w niej samej, struna dźwięcząca z głębi instrumentu na głosem wzięty ton".

— „Nie mówię, że nie zmieniło się nic, — powtórzyła pani Wogdeman—nie, tego nie mówię. Zmieniło się bardzo wiele. Ale to jednak zostało, to właśnie: wojna, więzienia i władza życia i śmierci jednych nad drugimi".

Autorka wyznaje ze smutkiem:

— „Wysłuchałam tego wszystkiego i milczałam. Cóż mogłam powiedzieć, skoro ona tak właśnie myślała, tak to czuła. Skoro cierpiała bardziej nad krzywdą wyrządzoną, niż inni cierpią z powodu krzywdy doznanej. Skoro wierzyła kiedyś w dobro tej sprawy, a teraz znieść nie mogła rzeczywistości rewolucji zwycięskiej i ze swem bankructwem moralnem przyszła aż tu, by przynajmniej nie widzieć, by zapomnieć". Tymczasem uczestniczka tej rozmowy, młoda, nieuleczalnie chora ormianka, która przeżyła i wiecznie w krwawiącej przechowywała pamięci straszliwe męki swej ojczyzny i rodaków, odczytała na prośbę znajomych swój przekład pieśni armeńskiej:

Panie, zmiłuj się nad nami,
Panie, zmiłuj się nad nami,
Święta Trójco ześlij pokój na ziemi,
Daj zdrowie chorym,
Ulżyj cierpiącym.

— „Il n'ya de vraie revolution que morale — pani Wogdeman powiedziała słowa Duhamela.— Bo inaczej to jest tylko nadanie tym samym rzeczom innej nazwy".

— — — — — — — — — — —

O to właśnie chodzi. Wielka poezja polska od czasów Kochanowskiego aż po Wyspiańskiego, Kasprowicza i Żeromskiego rozumiała doskonale, że żaden ustrój społeczny czy polityczny nie jest w stanie dać szczęścia człowiekowi i narodowi, dopóki nie nastąpi owa rewolucja moralna, przeistaczająca człowieka w „syna bożego i brata synów bożych". Jakąż nieprawdą jest przypisywanie tego poglądu wyłącznie romantyzmowi, ściślej mówiąc: mesjanizmowi polskiemu. Już śpiewak z Czarnolasu twierdził, że „szkoda zwać człowiekiem, kto bydlęce żyje" — i wzywał rodaków, by „wzięli przed się myśli, godne siebie, myśli, ważne na ziemi, myśli, ważne i w niebie". Już Skarga wołał: „Pierwszy dzień niech będzie żałości i skruchy prawej i spowiedzi grzechów naszych, drugi poprawy i nagrody wszelakiej, do pokuty prawej potrzebnej, a trzeci dzień — usprawiedliwienia naszego". A Sęp - Szarzyński w słynnym swym sonecie „O wojnie naszej, którą wiedziemy z szatanem, światem i ciałem", jakże dawno odczuł tragedję doli człowieczej, polegającą na wiecznem bojowaniu ze „srogim ciemności hetmanem", który „o nasze pilno czyni zepsowanie".

Czyż mam mnożyć przykłady?... Czy mam raz jeszcze dowodzić, że patrjotyzm polski przez cały ciąg naszych dziejów był tak ściśle związany z religijnością, że nawet w epokach oświecenia i pozytywizmu, nigdy tych ślubów nie zrywał? Tradycji tej nic dotychczas obalić nie było w stanie — i jest to, mojem zdaniem, rys tak charakterystyczny kultury polskiej, że żądać od literatury współczesnej, żeby go się wyzbyła, znaczy to dążyć do zadania jej rany śmiertelnej.

Żadnego „zakłamania" w poezji zarówno naszych wieszczów, jak i ich następców, aż do Żeromskiego włącznie, nie było: poprostu ludzie ci, tak samo jak nasi pisarze epok ubiegłych, wierzyli, że nie doktryna socjalna lub polityczna, ale wartość etyczna człowieka stanowi o poprawie losu jednostki, narodu i ludzkości.

Oczywista — tego rodzaju pogląd musiał w prostej konsekwencji prowadzić do uznania nakazu miłości chrześcijańskiej, jako najwyższego regulatora stosunków międzyludzkich i międzynarodowych. Tęsknota do królestwa Bożego na ziemi pozwoliła Polakom przetrwać najsroższe dni niewoli i poniżenia; wiara w jego nadejście dała im ten skarb nieoceniony, którym było przewartościowanie cierpienia. Tę wiarę wyszydzają zwolennicy bolszewizmu właśnie dlatego, że jest wiarą, że— jak to określił Majakowski — jest nadzieją na „mannę z nieb".

Dlaczegoż jednak ci sami ludzie żądają od nas bezwzględnego uznania ich wiary, ich fanatycznie i bezkrytycznie wyznawanego dogmatu?... Tak, dogmatu! Najwybitniejszą cechą umysłowości elity bolszewickiej, według Konstantego Srokowskiego („Elita bolszewicka" — studjum socjologiczne, drukowane w „Przeglądzie Współczesnym" z 1927 r.) „jest niezwykle silna i wysoka samowiedza, która wyraża się w niezachwianej pewności i kategoryczności decyzyj. Głównem źródłem tej samowiedzy jest całkowita asymilacja nauki Marxa, i to nietylko jej pozytywnych wniosków i twierdzeń, lecz przedewszystkiem jej metody ujmowania zjawisk. Metoda ta jest — jak wiadomo — indukcyjną, analityczną, krytyczną. Stosunek jednak umysłowości bolszewickiej do niej jest dogmatyczny i bezkrytyczny. Jest to więc jakgdyby paradoks — bezkrytycznego krytycyzmu. W samowiedzy bolszewickiej w dziwny sposób zmieszane są ze sobą elementy wiedzy i wiary. Stany świadomości empiryczno-refleksyjnej, krytycznej, t. zw. „naukowej", sąsiadują bezpośrednio i mieszają się ze stanami świadomości intuicyjnej, fideistycznej, religijnej, tak że wiedza nabiera cech wiary, staje się dogmatyczną, wiara zaś wchodzi w dziwne kombinacje z krytycyzmem, nabiera cech wiedzy. Dogmatyzm i krytycyzm mieszają się w umysłowości bolszewickiej w sposób swoisty, dając nowy typ intellektualny, w którym niezwykła przenikliwość występuje obok oczywistego przytępienia, krań-

cowy realizm i konkretyzm w ujmowaniu jednych zjawisk obok zadziwiającego iluzjonizmu, absolutny sceptycyzm obok fideizmu, zdolnego konkretyzować i antropomorfizować w najgrubszy sposób różne pomocnicze abstrakcje i zwykłe abrewjatury o treści bardzo płynnej i niepewnej.

Dość wskazać na to, co umysł bolszewicki potrafi dokazywać z takiemi pojęciami, jak „proletarjat", „klasa społeczna", „burżuazja" i t. d. Jak wiadomo, naukowej definicji tych pojęć niema, ponieważ same te pojęcia nie są naukowemi. Są to tylko potocznie używane n o m i n a c o l l e c t i v a dla pewnych zjawisk. Mimo to w umysłowości bolszewickiej te właśnie pojęcia nabierają jakiegoś zupełnie szczególnego, z jednej strony wybitnie metafizycznego, z drugiej zaś hiperkonkretnego i materjalistycznego znaczenia. W pojęciu bolszewika „klasa społeczna" nietylko pragnie, dąży, walczy, cierpi, t. j. doznaje pewnych uczuć i wykonuje pewne ruchy i prace, ale ona także myśli, analizuje, syntetyzuje, ocenia, systematyzuje nietylko jako istota, obdarzona wolą i zdolnością ujawniania jej przez skoordynowane ruchy, ale także rozumem, a w pewnych wypadkach, np. rewolucji, zgoła cudowną nieomylnością.

Innem ulubionem przez bolszewickiego intellektualistę pojęciem jest t. zw. „proces historyczny". Wyobrażenie to, zaczerpnięte z chemji czy biologji i przeniesione do interpretacji zjawisk historycznych tylko na drodze odległej zresztą analogji, mające oznaczać związek przyczynowy zjawisk historycznych i ich ciągłość, w umyśle bolszewika staje się jedną z głównych kategoryj myślenia. Pojęciem tego procesu operuje on z taką pewnością siebie, jakgdyby znał we wszystkich szczegółach jego procedurę, jakgdyby zamiast kilku mglistych uogólnień dysponował tu zamkniętym zapasem konkretnych, dowolnie sprawdzalnych i jednoznacznych pojęć i określeń"!

Ta skłonność do konkretyzacji mglistych abstraktów według Srokowskiego „jest wspólna wszystkim epokom rewolucyjnym, okresom wielkich masowych ruchów, wzmożonej dynamiki socjalnej. Stała się ona główną cechą całego współczesnego myślenia o zjawiskach społecznych w warunkach demokracji. W taki sam sposób używali Jakobini swoich sakramentalnych pojęć „patrjota", „lud", „cnota" i t. d. Zupełnie podobnie myślą współcześni nacjonaliści, antropomorfizując pojęcie narodu, który w ich języku wykonuje te same czynności, co w języku bolszewickim „klasa społeczna", tak samo posiada wolę, siłę niezmierną i rozum nieomylny, czyli poprostu jest naiwnem wyobrażeniem jakiegoś wielkoluda czy bóstwa, wyposażonego we wszystkie cechy jednostki ludzkiej, odpowiednio powiększone.

U bolszewików skłonność do konkretyzowania i antropomorfizowania tych uogólnień w myśleniu o zjawiskach społecznych występuje tylko silniej i jaskrawiej".

Otóż należy stwierdzić stanowczo, że polska myśl polityczna w swych najtypowszych przejawach zawsze była daleka od takiego antropomorfizowania pojęć społecznych Najwybitniejszy nasz pisarz polityczny wieku oświecenia, Stanisław Staszic, lękał się rewolucji w Polce już choćby dlatego, że z zamętu, jakiby stąd powstać musiał, zechcieliby skorzystać czychający na zgubę jej sąsiedzi.

To też ten wielki obrońca mieszczan i chłopów polskich nie był zgoła rewolucjonistą. Przeciwnie, filozofję swoją ugruntował na podstawie pojęcia ewolucji. Posłuchajmy, co mówi o tem twórca najwybitniejszej z dotychczasowych monografij o Stanisławie Staszicu, Czesław Leśniewski: „Jak większość współczesnych mu umysłów, u początku swej filozofji postawił pojęcie Boga, wyprowadzone z obu pierwiastków natury ludzkiej: rozumowego i uczuciowego, a w pojęciu tem zamknął wszystko, o czem go światło rozumu pouczało i do czego, jako do ideału, tęskniło serce. Z tego stanowiska — świat przedstawił mu się jako niezamknięte jeszcze kolisko zjawisk, z Bogiem, jako punktem wyjścia, a naturą i człowiekiem, jako zjawiskami dalszemi, które dopóty realny byt swój wieść będą, aż nie zamknie się owo kolisko, gdy natura i człowiek spełnią wreszcie swe boskie posłannictwo przez ziszczenie powszechnego szczęścia na ziemi. Drogi, któremi wszystko do tej doskonałości zmierza — to drogi objawienia Bożego, pojęte jako prawa natury i prawa rozumu. W tym racjonaliźmie i w tej wierze w siły natury, jako przejawy woli Boskiej, tkwi ogniwo, łączące Staszica z tem, co było najistotniejszego w filozofji wieku oświecenia. Przezwyciężony został zawarty w systemie Pascala pogląd wieku poprzedniego na naturę człowieka, jako na źródło zła: jedno i drugie podniesione do roli boskich czynników, których Bogu podobało się użyć do urzeczywistnienia swoich zamierzeń. Sama idea zła nie zarzucona, przeciwnie — stwierdzony fakt realny jego istnienia, ale przez podkreślenie Boskiego posłannictwa natury i człowieka, przez wiarę nietylko w możliwość, ale nawet konieczność jego wypełnienia, tem wyżej podniesione godność i dostojeństwo istoty ludzkiej".

A więc tradycja politycznej myśli polskiej od Modrzewskiego po Żeromskiego tchnie optymizmem religjnym, uznającym człowieka za „syna bożego i brata synów bożych". Nic dziwnego, że literatura nasza i dziś nie jest w stanie przyjąć za podstawę historycznego materjalizmu bolszewików, wyniesionego aż od roli dogmatu, i raczej woli wierzyć, że Bóg jest nietylko „nad narodami", ale również i nad klasami.

Czy taki „dogmat" jest bardziej fikcyjnym od podnoszenia do poziomu religji doktryny społecznej, o której przecież zgóry, na podstawie doświadczenia historycznego, musimy powiedzieć, że w dziejach postępu ludzkiego musi być przemijającą? Czy nie posiada on oczywistych dla każdego niezaślepionego umysłu cech trwałości,

uwarunkowanej wysoce etyczną naturą swego finalnego celu? Gdybyśmy mieli stracić wiarę w możność nieustannego doskonalenia się ludzkości, dokonywania tych „rewolucyj moralnych", które są triumfami miłości nad egoizmem (wszystko jedno — jednostkowym, narodowym czy społecznym), to jakaż doktryna polityczna czy społeczna mogłaby oprzeć się rozkładającemu działaniu wzgardy dla natury ludzkiej, która nigdy poprawić się nie da?

W komedji Wacława Grubińskiego „Lenin" bohater tytułowy wyraża zdanie: „Aby się stać bolszewikiem, trzeba zrozumieć, jak bezgranicznej pogardy warci są ludzie. Bez tego głębokiego zrozumienia niepodobna wtajemniczyć się w bolszewizm".

Czyż straszliwy terror, którego inicjatorem i bezwzględnym obrońcą był Lenin (stwierdza to Trocki w napisanym na cześć zmarłego wodza rewolucji panegiryku: „Über Lenin — Materjal für eine Biographie — Berlin 1924), nie jest dowodem jego bezbrzeżnej pogardy dla człowieka? Gdy Mickiewicz w „Improwizacji" — w dążeniu do rządu dusz — wygłosił te okrutne słowa:

Co ja zechcę, niech wnet zgadną,
Spełnią, tem się uszczęśliwią,
A jeżeli się sprzeciwią,
Niechaj cierpią i przepadną! —

to przypisał je później szatanowi, który owładnął jego duszą.

Nie — my nie jesteśmy w stanie przyjąć doktryny, która opiera się na „władzy życia jednych nad drugimi". Nie — my jesteśmy po dziś dzień wierni przykazaniu mickiewiczowskiemu, wyrażonemu tak przedziwnie w jego krótkim wierszu lozańskim:

Snuć miłość, jak jedwabnik nić z piersi swych snuje,
Lać ją z serca, jak źródło wodę z wnętrza leje,
Rozkładać ją, jak złotą blachę, gdy się kuje
Z ziarna złotego, siać ją, jak się zboże sieje,
Hodować ją, jak matka dziecko swe piastuje —
Puszczać ją w głąb, jak nurtuje
Źródło pod ziemią — w górę wiać nią, jak wiatr wieje
Po ziemi ją rozsypać, jak się zboże sieje —
Ludziom piastować, jak matka swych piastuje.
Stąd będzie wyższa moc twa, jak moc przyrodzenia,
A potem będzie moc twa, jako moc krzewienia,
Potem jak ludzi — potem jako moc aniołów,
A wkońcu będzie, jako moc Stwórcy stworzenia.

Leon Rygier.

WIADOMOŚCI Z KOŚCIOŁA I O KOŚCIELE.

Synod Kościoła Ewang. Reformowanego w Rzeczypospolitej Polskiej dn. 12— 14 czerwca r. b.

Tegoroczny Synod nasz rozpoczął swe obrady w dniu 12 czerwca r. b. uroczystem nabożeństwem w Kościele naszym na Lesznie. Bezpośrednio po nabożeństwie otwarto pierwszą sesję Synodu, na razie pod przewodnictwem stałego Wice-Prezesa Synodu w osobie Ks. Superintendenta W. Semadeniego, który przedewszystkiem zarządził wybory Prezesa Synodu. Powoływany kilkakrotnie na to zaszczytne stanowisko pan Leon Błaszkowski, Sędzia Sądu Najwyższego, prosił o niestawianie jego kandydatury. Zebranie ogromną większością głosów powołało na Prezesa Synodu pana Henryka Sachsa, profesora Wyższej Szkoły Handlowej, Prezesa Związku Buchalterów i b. długoletniego Radcę Konsystorza naszego.

Po ukonstytuowaniu się prezydjum Synodu i zawiadomieniu Pana Ministra W. R. i O. P. o otwarciu sesji synodalnej, rozpoczęły się właściwe obrady przy udziale wszystkich Duchownych naszych, delegatów poszczególnych Zborów, oraz licznego zastępu członków Zboru naszego stołecznego. Jako goście obecni byli na Synodzie — przedstawiciel Jednoty Reformowanej Wileńskiej — pan Florjan Świda, i delegat organizującego się Ukraińskiego Kościoła Ewang. Reformowanego we Wschodniej Małopolsce — Ks. Paweł Kratt z Kołomyji.

Po odczytaniu przesłanych Synodowi życzeń i pozdrowień i wysłuchaniu sprawozdania Konsystorza z działalności jego za rok synodalny 1926/27 i ze stanu Zborów, przystąpiono do wyborów Prezesa Konsystorza, 1-go Radcy świeckiego i Sekretarza na następną trzechletnią kadencję. Dotychczasowy Prezes Konsystorza — pan Profesor Kacper Tosio oświadczył jeszcze przed Synodem stanowczo, że ponownego wyboru nie przyjmie i zobowiązał Konsystorz do nieprzedstawiania kandydatury jego na plenum Synodu. Z przedstawionych przez Konsystorz trzech kandydatów ogromną większością głosów wybrany został na Prezesa Konsystorza — Prezes tegorocznego Synodu — pan Henryk Sachs. Na 1-go Radcę świeckiego Konsystorza powołano pana Prof. Jerzego Kurnatowskiego (ponownie) i na Sekretarza pana Stanisława Bretscha (ponownie). Po dokonaniu wyborów wobec spóźnionej pory pierwszą sesję Synodu zamknięto.

Druga sesja w dniu 13 czerwca poprzedzoną została nabożeństwem o godzinie 4 pp. w kościele na Lesznie, odprawionem przez Ks. K. Ostachiewicza, Pasterza Zboru Żychlińskiego. Na sesji tej wysłuchano przedewszystkiem przedstawienia Konsystorza w sprawie przystąpienia Kościoła naszego do mającej powstać „Rady Kościołów Ewangelickich w Polsce". Konsystorz dopiero na kilka dni przed Synodem otrzymał z Wilna „Statut" projektowanej Rady i, aczkolwiek nad nim szczegółowo debatował i projekt przystąpienia naszego do „Rady" omawiał, jednakże nie przedstawił Synodowi własnego pro-

jektu uchwały, proponując natomiast powołanie przez Synod specjalnej Komisji, w celu rozpatrzenia Statutu i przedstawienia Synodowi w dniu następnym projektu ewentualnego akcesu naszego do „Rady". Zgodnie z propozycją Konsystorza powołaną została przez Synod Komisja, składająca się z wszystkich Duchownych naszych, Konsystorza w pełnym składzie i delegatów poszczególnych Zborów (pomiędzy nimi kilku prawników), której to komisji poleconem zostało szczegółowe rozpatrzenie przyjętego na Zjeździe Wileńskim w 1926 r. Statutu „Rady" i przedstawienie Synodowi ostatecznego wniosku.

Po załatwieniu tej ważnej sprawy wysłuchano całego szeregu przedstawień Konsysorza, a mianowicie w przedmiocie wykładu nauki religji w szkołach państwowych i prywatnych, ze stanu szkółek niedzielnych i misji wewnętrznej w poszczególnych środowiskach naszych wyznaniowych, wreszcie sprawozdanie o konferencjach Duchownych naszych i stypendystach Synodu.

W związku ze sprawozdaniem o stanie pracy misji wewnętrznej w poszczególnych środowiskach naszych wyznaniowych, Synod powiadomiony został o założeniu w Kościele naszym własnego naszego Djakonatu. Doniosły ten fakt omawiamy na łamach „Jednoty" na innem miejscu.

Trzecią sesję Synodu w dniu 14.VI. poprzedziło nabożeństwo, odprawione o godzinie 4 pp. w Kościele naszym na Lesznie przez Ks. W. Fibicha, Pasterza Zboru Zelowskiego. W godzinach przedpołudniowych tegoż dnia komisja Synodalna rozpatrywała szczegółowo „Statut" Rady Kościołów Ewangelickich w Polsce i sprawę przystąpienia Kościoła naszego do tej Rady. W dyskusji członkowie Komisji wypowiedzieli się co do przystąpienia Kościoła naszego do „Rady" pozytywnie, przy omawianiu zaś „Statutu" zdanie większości członków było takie, że „Statut" zawiera wiele braków i niedomówień i wymaga znacznych poprawek. Zwracano uwagę na to, że w Statucie niema mowy o tem, jakie jest wymagalne quorum na posiedzeniach „Rady", aby uchwalane „jednomyślnie" rezolucje jej obowiązujące były dla wszystkich Kościołów. Mogłoby się np. zdarzyć, że z 16 członków Rady obecnych będzie na sesji tylko 6-ciu, i ci „jednomyślnie" uchwalą coś, na co 10-ciu nieobecnych nigdyby się nie zgodziło. Mówiąc o „Wydziale Wykonawczym" Statut nie wspomina, czy i jego uchwały zapadać mają jednomyślnie? Podobnych braków i niedomówień jest jeszcze więcej. W rezultacie jednak obrad swoich, Komisja powzięła jednomyślnie wniosek, który poniżej podajemy.

Na wstępie 3-ej sesji Synodu przewodniczący przedstawił Synodowi następujący wniosek komisji synodalnej.

Komisja, powołana do szczegółowego rozpatrzenia, zaopinjowania Statutu Rady Kościołów Ewangelickich w Polsce, opracowanego przez Zjazd Wileński, i do postawienia wniosku swego na plenum tegorocznego Synodu, jednomyślnie proponuje Wysokiemu Synodowi w przedmiocie powyższym Uchwałę następującą:

Uchwała.

„Uznając cele Rady Kościołów Ewangelickich w Polsce, wytknięte w par. 1-ym projektu jej Statutu, przyjętego przez Zjazd Ewangelicki w Wilnie dnia 11.XI.1926 r. za pożądane i wskazane, Synod Ewangelicko-Reformowany w Rzeczypospolitej Polskiej uchwala przystąpienie Kościoła Ewangelicko-Reformowanego z siedzibą w Warszawie do projektowanej Rady w charakterze jej członka.

Uważając zaś projekt Statutu za tymczasowy regulamin, mający służyć za środek jej ukonstytuowania się i rozpoczęcia przez nią działalności ideowej w kierunku celów, w par. 1-ym projektu Statutu wyłuszczonych, — która to działalność dopiero skrystalizuje treść i formę zapoczątkowanej organizacji międzywyznaniowego Ewangelicyzmu w Polsce, — Synod pozostawia przyszłej Radzie Kościołów opracowanie, w uznanej przez nią za wskazaną chwili, projektu ostatecznego Statutu i przedstawienie go poszczególnym Kościołom, jako członkom Rady do zatwierdzenia".

Uchwała powyższa przyjętą została przez Synod. W dalszym ciągu obrad zgłoszony został wniosek wyborów delegatów Synodu Jednoty naszej na Synod Jednoty Wileńskiej. Wybrani zostali pan Prezes Konsystorza Kacper Tosio i Ks. Ludwik Zaunar. Przystąpiono następnie do wysłuchania sprawozdań Konsystorza i powzięto w związku z niem szereg uchwał w sprawie stosunku Kościoła Ew. Ref. w Polsce do „Wszechświatowego Związku krzewienia przyjaźni między narodami przez Kościoły", oraz innych organizacyj wszechświatowych Kościoła Reformowanego, w sprawie sanacji finansów kościelnych, w sprawie stałych Zgromadzeń członków Zboru w parafjach prowincjonalnych i obsługi nowopowstających miejsc dojazdowych, pozbawionych własnych duszpasterzy, w sprawie statystyki współwyznawców naszych, do Jednoty należących, wreszcie wysłuchano sprawozdania ze stanu archiwum akt dawnych i biblioteki synodalnej, zawierającej wiele zabytków i pamiątek historycznych z najwspanialszego okresu dziejów Kościoła naszego w Polsce.

Zatwierdzenie etatu Konsystorza i oddzielnych Zborów, a także rachunku z funduszów, zostających do dyspozycji Konsystorza, i rachunków parafjalnych i instytucyj zborowych za rok 1926, wyczerpało całkowicie program prac Synodu, wobec czego p. przewodniczący zamknął tegoroczną sesję Synodu naszego.

Bezpośrednio z sali obrad synodujący udali się do Kościoła, gdzie Ks. Superintendent Semadeni odprawił dziękczynne nabożeństwo. Dziękowaliśmy wspólnie Bogu i Głowie Kościoła, Panu naszemu Jezusowi, Chrystusowi, za pomyślność obrad tegorocznego Synodu, nacechowanych spokojem, głęboką powagą i zrozumieniem zadań Kościoła Eweng.-Reformowanego w Polsce

**
*

Synod Jednoty Wileńskiej. Tegoroczna sesja Synodu Wileńskiej Jedonty Ewangelicko-Reformowanej rozpocznie się w sobotę, dnia 25 czerwca r. b. uroczystem nabożeństwem o g. 11-ej rano w Kościele Ewangelicko-Reformowanym w Wilnie przy ul. Zawalnej. Jako delegaci naszego Synodu wyjeżdżają do Wilna Pan Prezes Konsystorza Kacper Tosio i Ks. L. Zaunar, Pasterz Zboru Łódzkiego.

***

Ze Zboru Łódzkiego. W dniu 5.VI r. b., w pierwszy dzień świąt Zesłania Ducha Ś-go odbyła się w Zborze Łódzkim doroczna podniosła uroczystość konfirmacji młodzieży. Salę zborową, pięknie kwiatami przyozdobioną przez samych konfirmandów i przez znaną firmę łódzką „L. Gayer", wypełnili niezwykle licznie zebrani zborownicy, z których duża część nie mogła się pomieścić w szczupłej sali i zmuszona była w czasie nabożeństwa stać w sieni i na dworze. Do konfirmandów przemówił Ks. Pasterz Zboru L. Zaunar na tekst słów Apostoła Pawła (Efez. 2.19), akcentując w przemówieniu swojem konieczność zespolenia się konfirmowanej młodzieży ze Zborem, do którego wchodzą jako „współobywatele i domownicy". Uroczystość pozostawiła głębokie wrażenie w sercach uczestników. Konfirmowano 4 chłopców i 12 dziewcząt. Młodym „współdomownikom wiary" i członkom Kościoła naszego redakcja „„Jednoty" zasyła serdeczne życzenia błogosławieństwa Bożego na dalsze dni ich życia i pracy.

***

Z Poznania. W gazecie kościelnej „Reformierte Kirchenzeitung", w numerze 22-im z dnia 29 maja r. b, czytamy, że nadzwyczajny Synod reformowany prowincji Hannoweru w Niemczech, na sesji swej w dniu 19.V r. b., powołał na stanowisko Superintendenta Krajowego Kościoła Ewangelicko-Reformowanego prowincji Hannoweru Ks. Senjora i Radcę Tajnego Konsystorskiego *Haenischa* z Poznania, dotychczasowego Senjora Jednoty Reformowanej w Wielkopolsce, poprzednio Pasterza Zboru reformowanego w Emden w Fryzji. Życząc elektowi obfitego błogosławieństwa Bożego w pracy dla dobra ukochanego przezeń Kościoła na tej nowej, a tak ważnej i odpowiedzialnej placówce, wyrażamy głęboki nasz żal, iż opuszcza kraj nasz człowiek gołębiego serca, niepospolitego umysłu i gorącego ukochania drogiego nam wyznania.

***

Wszechświatowy Związek Kościołów Reformowanych. W roku bieżącym, w dniach 31.VIII — 13.IX, odbędzie się w Budapeszcie, stolicy Węgier, trzeci z kolei Zjazd oddziału europejskiego Wszechświatowego Związku Kościołów Reformowanych. Ogłoszony w pismach kościelnych program tej konferencji obejmuje punkty następujące:

1) Organizacja Związku na kontynencie. 2) Nasz stosunek do Kościołów rzymsko-katolickiego i prawosławnego. 3) Jedność protestantyzmu europejskiego 4) Duchowa niezależność Kościoła i stosunek jego do państwa. 5) Nabożeństwo w Kościele Reformowanym. 6) Nasze stanowisko wobec dążeń dzisiejszych do łączenia się. 7) Trudności Kościołów na skutek traktatów o mniejszościach. 8) Misja wewnętrzna i zewnętrzna. 9) Jak dzieło nasze i posłannictwo nasze bardziej znanem ogółowi uczynić? W programie zjazdu przewidzianą też jest wycieczka do miasta Debreczen, zwanego „węgierską Genewą". Jak wiadomo przedstawicielem naszego Kościoła na Zjeździe będzie P. W. Ks. Superintendent W. Semadeni.

***

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Kościół ewangelicko-reformowany w Ameryce, noszący ogólną nazwę „prezbyterjańskiego", posiada w swem łonie grupy, które mocniej od innych podkreślają ten charakter „reformowany" (kalwiński) i stanowią w łonie amerykańskiego prezbyterjanizmu organizację, noszącą nazwę „Kościoła Reformowanego". Są to prezbyterjanie Stanów południowych, głównie potomkowie reformowanych emigrantów francuskich i szkockich. W roku 1861 utworzyli oni Związek Kościelny, noszący nazwę „Southern Presbyterian-Reformed Church" i akcentujący silniej, aniżeli całość prezbyterjanizmu, czysto duchowe posłannictwo Kościoła, przy wyeliminowaniu wszelkich kwestyj politycznych. Liczy on obecnie 17 okręgów synodalnych, 3601 Zborów z 2235 duchownymi i 462.177 konfirmowanych członków.

Obok „Southern Presbyterian - Reformed Church" istnieje również samodzielnie druga organizacja kościelna, nosząca nazwę „Christian Reformed Church". Kościół ten gromadzi obecnie kapitał miljona dolarów, w celu założenia w mieście Grand Rapids Kolegjum i bursy im. Jana Kalwina. Wobec znanej ofiarności amerykan sądzić należy, że kapitał ten wkrótce zebrany będzie.

***

Litwa. Fakultet teologji ewangelickiej Uniwersytetu w Kownie zaproponował objęcie katedry teologji systematycznej Prof. Dr. J. Beblawemu, z pochodzenia słowakowi, wyznania luterskiego. Prof. Beblawy propozycję przyjął i po przybyciu do Kowna rozpoczął wykłady w języku niemieckim.

***

Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne rozsyła przeciętnie, licząc na dobę, co trzy sekundy jedną Biblję, lub część tejże. Od założenia Towarzystwa w r. 1804 rozpowszechniono dotąd 365 miljonów sztuk Biblji, lub jej części.

Z tej liczby Biblij w języku angielskim rozpowszechniono 105,700.000 egzemplarzy.

(*Reformierte Kirchenzeitung*).

***

Węgierski Kościół Ewangelicko-Reformowany na Słowaczyźnie. W tygodniku genewskim „Semaine religieuse" opisuje profesor akademji w Sarospatak na Węgrzech, Dr. L. Racz położenie Węgierskiego Kościoła Reformowanego w sposób następujący. „Na terytorjum oderwanem od Węgier, a wcielonem do Czechosłowacji, mieszka 220.000 reformowanych węgrów, którzy pod rządami czeskosłowackimi wiodą żywot wielce przykry, pełen walk i przeciwności. Wszystkie gimnazja węgierskie zostały im zabrane lub zamknięte, a uczniowie węgrzy, nie rozumiejący języka słowackiego lub czeskiego, muszą uczęszczać do szkół z językiem wykładowym czeskim. Pastorowie, nie posiadający obywatelstwa czesko-słowackiego, musieli opuścić kraj, wobec czego kilkadziesiąt Zborów pozbawionych zostało dotychczasowych swych duszpasterzy. Zbory wyludniają się z powodu wyjazdu z kraju dawnych węgierskich urzędników. Aby zaradzić katastrofalnemu brakowi duchownych, założono w roku ubiegłym w Losonc fakultet teologiczny, a jego dyrektor, Pastor M. B. Sörös, czyni wszystko, co jest w mocy jego, aby zapewnić młodym teologom choćby najniezbędniejsze wykształcenie. Pomagają mu w pracy inni duchowni, którzy się w roli wykładowców co dwa miesiące zmieniają, nie przerywając jednocześnie swej pracy duszpasterskiej. Fakultet liczy obecnie 38 studentów na pierwszym i drugim kursie. Kościół Reformowany na Słowaczyźnie dzieli się na 3 dystrykty, na czele których stoją biskupi. Oddzielny 4 dystrykt stanowią 25 zborów słowackich, wchodzących w skład Węgierskiego Kościoła Reformowanego. Ci słowacy znajdowali się przeszło tysiąc lat pod panowaniem węgierskiem, zachowali jednak całkowicie język swój i narodowość.

***

Powrót do starogermańskiego kultu pogańskiego. W Wiedniu istnieje germańskie stowarzyszenie religijne, którego członkowie przestrzegają ściśle rytuał starogermańskiego kultu pogańskiego. Obowiązani są oni czcić Wodana, Baldura, Freję i inne starogermańskie bóstwa, mają też swój święty dąb w Praterze. Członkowie tego stowarzyszenia rekrutują się przeważnie z pośród inteligencji, a jednym z kierowników jego jest znany w Wiedniu profesor medycyny, który w stowarzyszeniu pełni obowiązki kapłana.

(*Refor. Kirchenzeitung*).

S.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO.

„Badajcie Pisma" Część II. Ks. H. Tochtermann. Ewangelja według św. Jana. Nakładem księgarni W. Mietke, Warszawa, Wspólna 10, 1927 r.

Z uznaniem należy witać każdą książkę, która z jednej strony kieruje myśl naszą ku zapoznawanej często i lekceważonej dzisiaj prawdzie Ewangelji Chrystusowej, z drugiej zaś strony wzbogaca tak ubogie jeszcze piśmiennictwo polsko-ewangelickie. To też z radością i uznaniem witamy książkę Ks. H. Tochtermana, a mówiąc o niej na tem miejscu, czynimy to w nadziei, że przeniknie ona do domów ewangelickich i przyniesie im użytek i radość w trudach i doświadczeniach życia codziennego. Książka ta jest, jak sam autor to zaznacza, „przystępnym wykładem" Ewangelji według św. Jana, mającym dać możność głębszego wniknięcia w treść tej Ewangelji, która powszechnie przez świat teologiczny-ewangelicki uznana jest za duchowy i filozoficzny wyraz prawdy Chrystusowej. My ze swej strony dzieło to polecić możemy gorąco czytelnikom naszym i życzyć sobie wespół z Szanownym autorem, aby „szła ta ewangelja w świat szerzcki, wszędzie, gdzie panuje smutek i płyną łzy; niechaj służy wam wszystkim, bracia i siostry w Chrystusie. Niechaj was zbliży do Chrystusa i ściślej zespoli z Nim, który znosi smutek wszelki, krzepi w słabości naszej, ociera wszelką łzę". Przystępna cena książki, wydanej na dobrym papierze, z wyraźnym drukiem i w estetycznej oprawie, niewątpliwie przyczyni się do jej rozpowszechnienia wśród społeczeństwa ewangelickiego.

Z.

OFIARY NA WYDAWNICTWO

Oprócz prenumeraty wpłacili na wydawnictwo:

Pan Józef Hajek — Łódź . . . . . zł. 25.—
P-ni J. L. — Warszawa, z okazji imienin ś. p. Henryka Laskowskiego . „ 10.—

SERDECZNE DZIĘKI.

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

w Warszawskim Kościele Ewangelicko-Reformowanym na miesiąc lipiec 1927 r. nabożeństwa rozpoczynają się o godzinie 11·15 przedpoł., o ile nie jest podana inna godzina.

1. Niedziela, dnia 3.VII (N. III po Trójcy Świętej) . . . . . — Ks. St. Skierski.
2. Niedziela, dnia 10.VII (N. IV po Trójcy Świętej) z Kom. Św. . . . . — Ks. St. Skierski.
3. Niedziela, dnia 17.VII (N. V po Trójcy Świętej) . . . . . Ks. St. Skierski.
4. Niedziela, dnia 24.VII (N. VI po Trójcy Świętej) . . . . . — Ks. St. Skierski.
5. Niedziela, dnia 31.VII (N. VII po Świętej Trójcy) . . . . . — Ks. St. Skierski.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

W. MIETKE, WARSZAWA, WSPÓLNA 10

UKAZAŁA SIĘ KSIĄŻKA Ks. H. TOCHTERMANA Z RADOMIA

P. T.

WYKŁAD EWANGELJI WEDŁUG ŚW. JANA

Objętości 270 stron.

Cena za egzemplarz w oprawie:

Karton zwyczajny	zł. 3.50
„ ozdobny.	„ 4.25
Angielskie płótno	„ 5.25
„ „ złocony brzeg	„ 6.—

Za przesyłkę pocztową dolicza się 35 groszy.

CENY OGŁOSZEŃ: IV str. okładki — zł 150; II str. — 100; III str. — zł 75; ½ str. — zł 75, 50, 35; ¼ str. — zł 40 30, 20, i ⅛ str. bez względu na stronę — zł 20.

STRONY ZWYKŁE: cała strona — zł 100; ½ str. — 50; ¼ str. — 30; ⅛ — zł 20. — Przy ogłoszeniach kombinacyjnych i z kliszami do cen powyższych dolicza się 30%.

Drukarnia M. S. Wojsk., Przejazd 10.

DRUKARNIA

MINISTERSTWA SPRAW WOJSKOWYCH

WARSZAWA, PRZEJAZD 10

TELEFONY: 51-25, 272-51, 282-66.

DZIAŁY:

DRUKARNIA bogato zaopatrzona w czcionki. Maszyny pośpieszne. — Maszyna rotacyjna. — Stereotypja. — Linotypy.

▼▼▼▼

LITOGRAFJA: Maszyny najnowszego systemu do formatu 90×125. — Materjał pomocniczy.

▼▼▼▼

INTROLIGATORNIA: Najnowsze maszyny do falcowania, szycia nićmi i drutem. Duży wybór materjałów i ozdób do najwykwintniejszych robót w zakres introligatorstwa wchodzących.

▼▼▼▼

WARSZTATY MECHANICZNE: Urządzenia pierwszorzędne. Maszyny precyzyjne. Specjalna maszyna do ostrzenia noży introligatorskich do długości 1.60 m.

WYKONANIE WSZELKICH ROBÓT Z WSZYSTKICH DZIAŁÓW PIERWSZORZĘDNE I SZYBKIE.